MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VII. Nr 2 WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1927 R. CENA NUMERU 1 zł.

O DOBRO NAJWYŻSZE

WESZŁO w modę podcinanie wiary w Naród nawet ze stanowiska religijnego. Socjologiczne pojęcie Narodu jako dobra najwyższego jest jakoby sprzeczne z wiarą w Boga. Tak utrzymuje „Głos Narodu". Z powodu rozprawy dr. Mejbauma „Podstawy narodowego myślenia i narodowej polityki" powtarza tam ten zarzut w sposób dość uproszczony publicysta W. Z.:

„Ta koncepcja nacjonalistycznego światopoglądu nie jest nowa; propaguje ją od dość dawna publicystyka Nar. Demokracji. Nie odpowiada jednak faktycznemu stanowi rzeczy; dla człowieka religijnego np. dobrem najwyższem jest religja i jej świat, dla nacjonalisty niewierzącego będzie niem oczywiście naród. Dla jednego i drugiego będzie to objektywna prawda. Koncepcja narodu jako najwyższego dobra jest nie do przyjęcia także z etycznego stanowiska; zastosowanie jej w życiu usprawiedliwia wszelki środek, o ile służy narodowi."

Dziwny to zbieg okoliczności, że żadna koncepcja narodowego życia — z tego czy innego powodu — tak licznym grupom się nie podoba. Nawet chrześcijańskiej demokracji, która przecież nie wydaje „Głosu Boga", jeno „Głos Narodu". Uważała kiedyś, że w sprawach urządzenia stosunków społecznych, kulturalnych, politycznych i wychowawczych naród ma głos decydujący, że to jest *suprema vox. Vox populi vox Dei.* A dzisiaj ten głos obraca się przeciwko — narodowi.

Za punkt wyjścia taki pan W. Z. bierze sobie „faktyczny" stan rzeczy: jeden — powiada — wierzy w to, inny — w owo. A potem źle brzmi w ustach niefortunnego obrońcy religji twierdzenie, że każda koncepcja ma wartość prawdy „objektywnej". Gdyby tak było, to o cóż się spiera? I w jakiż to sposób prawda objektywna może być nie do przyjęcia z etycznego stanowiska?

Pan W. Z. tak się rozhulał, że odmawia nacjonalizmowi nie tylko wiary w Boga, ale etyki. Według niego, skoro się coś uważa za dobro, to musi się uważać „wszelkie środki", ku temu prowadzące, za usprawiedliwione. Hotentockie poglądy na etykę mają wysoki kurs w Krakowie.

Takimi obrońcami religji byli i są tylko faryzeusze

Warta jest zastanowienia logika p. W. Z., przedstawiająca człowieka religijnego — niewierzącemu nacjonaliście. Jeśli p. W. Z. chce dać do zrozumienia, że nacjonalista nie może być religijnym, a religijny nie może być nacjonalistą — to popełnia fałsz. Nacjonaliści bywają religijniejsi od „chrześcijańskich demokratów", wyrzekających się nacjonalizmu, nawet polityki narodowej.

Ten sposób dyskutowania uważać należy za szykanowanie w celu propagandy politycznej, nic wspólnego zaś niema z dochodzeniem prawdy objektywnej w celu wytworzenia w umysłach całkowitego na świat poglądu.

Korzysta się w tym wypadku z tego, iż pogląd na świat nacjonalistyczny jest w stadjum badań naukowych. Metody pozytywistyczne, mające w nauce niezaprzeczalną wartość, dążą do wyosobnienia zjawisk w celu badań i wychodzą nie z założeń ogólnych filozoficznych czy teologicznych, o które przecież nie trudno, lecz badają kwestję na realnym odcinku. Metafizyk lub teolog oczywiście wykazałby przedewszystkiem w danem zjawisku przejaw sił transcendentnych. Ale na czem opiera się przypuszczenie, że badacz ducha narodowego, oceniając warunki społeczne kształcenia się duszy w rodzimem środowisku i przekonywając się o wartości bezwzględnej tego środowiska dla jednostki—nie może mieć podziwu religijnego dla Stwórcy?

Ksiądz Kołłątaj utrzymywał, że wiara w Boga jako w pierwszą przyczynę wszystkiego

„nie przeszkadza bynajmniej do poszukiwania przyczyn rzadkich i trudnych do wytłumaczenia skutków; owszem

tem bardziej zachęca, im więcej przejęci jesteśmy podziwieniem nad dokładnością dzieła, tudzież nad wszechmocnością jego Sprawcy. Nie przeszkodziło to bynajmniej nieśmiertelnym pomysłom Kopernika i Newtona, że ośmielili się przeniknąć w tajemnice układu całego świata, choć wszelako obu tych filozofów nikt nie posądzał, aby tak wysoka nauka osłabiła w nich wiarę". (Rozbiór krytyczny zasad historji o początku rodu ludzkiego. Kraków, 1842 II, 222).

Tak pisali — Chrz. Dem. czytać to powinna — światli księża Kołłątaj czy Staszic. Oczywiście księża Chmielewski czy Pikulski w XVIII w., czując się dobrze w krakowskim obskurantyzmie, wydziwiali Kopernika: — Gdyby prawdą było — mówili — że ziemia się obraca, to przecież mielibyśmy wiatr zawsze z jednej strony...

Trudno pisać z powagą o wystąpieniu p. W. Z. ale też niepodobno pomijać takich faktów, bo to są zdrożne usiłowania dezorjentowania i tak już zaczadzonej opinji. Chrz. Demokracja lekkomyślnie pomaga liberałom i radykałom do odcinania myśli politycznej od jedynej ostoi naturalnej, którą polityka, ma w narodzie z jego instynktami, myślą i wolą. Nie rozumieć tego, że robota dla dobra państwa polskiego traci wszelki sens, gdy dla niej najwyższem wskazaniem przestaje być dobro narodu suwerennego jest to obskurantyzm, który w czasach, wymagających nie tylko gazu trującego do obrony państwa, ale przedewszystkiem jasnej myśli i wiedzy, staje się karygodnym.

Skądże się wzięły tak głębokie nieporozumienia wśród spadkobierców patrjotyzmu polskiego poetów, filozofów i działaczy XIX wieku, że już razem obrońcy narodu i religji iść nie mogą? Wiara w naród doskonale się łączyła z wiarą w Boga u Woronicza, Brodzińskiego, Józefa Gołuchowskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, oo. Zmartwychwstańców, ks. Felińskiego, i tylu innych, a teraz przełożona z mesjanizmu na system wiedzy o narodzie i państwie staje się nagle grzechem. Dzisiejszy nacjonalizm polski jest rodzonym bratem metafizycznego idealizmu tamtych czasów. Ma takie same przedłużenia do pierwszej przyczyny wszechrzeczy i takie same pragnienia doskonałości i życia wiecznego.

W zastosowaniu do programów społecznych i politycznych nie wprowadza odsyłaczy religijnych tak samo, jak w fizyce laborant nie powtarza aktów wiary co do pierwszej przyczyny. Naród jest jedyną postacią życia, ziszczającą na ziemi ideę wieczności przez to, że jest trwaniem w czasie jako świadomość łańcucha pokoleń. Wiara w to życie pokoleń ze spadkobraniem ducha z natury swojej ma charakter religijny, a w duszy polskiej, nie traktującej niczego w oderwaniu, lecz zawsze w związku z życiem, wytwarza naturalną podstawę religijności. Nacjonalizm, organizując w ideę ten dobroczynny religijnego typu instynkt, nie ma żadnej potrzeby przeciwstawiania go wierze religijnej. Mieliśmy przykład w ks. Kaz. Lutosławskim, że łączył doskonale wiarę z patrjotyzmem, naukę o narodzie — z teologją.

Pan W. Z. ma prawo robienia zarzutów temu lub innemu pisarzowi nacjonalistycznemu, że się nie wytłumaczył ze swego stosunku do religji, ale nie ma żadnego prawa robić idei samej zarzutu, że jest sprzeczna z wiarą w Boga. Niechaj raczej wyzna prawdę, że wykonywa manewry polityczne. To samo jego pióro w tym samym dzienniku bryzgało atramentem nie na teorje nacjonalistyczne, ale na tak elementarną koncepcję czynu obrony narodowej, jak Obóz Wielkiej Polski. A przecież dobrze mu jest znane stanowisko Dmowskiego w sprawie religji i Kościoła. Wykładał je na zjeździe katolickim i w publikacjach. Program jego obejmuje sprawę żywotną Kościoła, dając inicjatywę zrzeszenia się trwałego państw cywilizacji łacińskiej. A jednak i tu p. W. Z. rzucił kamieniem.

Wiemy tedy, co o tem wszystkiem sądzić. I w przyszłości bez skrupułu demaskować będziemy faryzeizm, pokrywający rzekomym rygoryzmem religijnym bałamuctwa myśli politycznej.

Z. W.

BEZDROŻA SAMOTNEGO CZŁOWIEKA

Ludzkość bez Boskości sama siebie zdradza
C. NORWID

BÓG i człowiek — to dwa podstawowe punkty wyjścia wszystkich systematów religijnych i filozoficznych. Chrześcijaństwo jest najwybitniejszym przykładem teocentryzmu, gdy świat indyjski, z jego dwiema religjami, brahminizmem i buddyzmem, może być uznany za typowy wyraz stanowiska antropocentrycznego. U podstawy bowiem indyjskiego poglądu na świat leży zasadniczy pierwiastek *brahman*, — identyczny w swej istocie z pojęciem *atman* (duch, samość),—czyli to znaczy, iż silne napięcie ducha naszego, jego modlitwa, jest jedyną siłą twórczą we Wszechświecie (*Deussen*). To samo oznacza znana formuła *aham Brahma asmi* (ja jestem Brahma). W Wielkiej Aranjoce czytamy:

Jeśli kto znajdzie, spostrzeże Atmana,...
Stanie się twórcą i źródłem wszystkiego,
Świat już jest jego i on sam jest światem.

A dalej: „Atman jest władzą wszystkiego, panem wszystkiego, królem wszystkiego, włada bowiem wszystkiem, co tylko jest. Nie wywyższa go dobre dzieło, ani poniża złe. On jest królem istot, jest władcą światów, jest orędownikiem światów"...

Dalsze jednak konsekwencje, teoretyczne i praktyczne stanowisk antropocentrycznego i teocentrycznego są tego rodzaju, iż napozór zaprzeczają swym założeniom. Zdawałoby się bowiem, iż teocentryzm winien doprowadzić w ostateczności do biernego stanowiska wobec Boga—Stworzyciela, dumny zaś w założeniu

kult samotnego człowieka, jedynego stwórcy widzialności, — do nieustannej aktywności i wszechstronnego opanowania przyrody.

Dzieje się wręcz odwrotnie. Oto antropocentyczne źródła filozofji indyjskiej doprowadzają Indje do panteizmu, do zaprzeczenia wręcz realności świata poznawanego *(Maja)*, a nawet do negacji podmiotu. Nieuznanie jakichkolwiek norm objektywnych wiedzie do egocentryzmu, przechodzącegu w solipsyzm (*tat twam asi*), do pojęcia wiecznego powrotu (*Samsora*), fatalnego w swej istocie (*Karma*). Stąd Indusi używają świętego znaku Swastyki 卐 symbolizując w ruchu rotacyjnym wieczysty powrót rzeczy. Jedynem wyjściem jest tedy ucieczka w *Nirwanę*.

Praktyczne konsekwencje Indjanizmu — to nuda i absolutna bierność w życiu, zwłaszcza w politycznem. Tak to, trawestując słowa Geothego, duch co się zaprze Boga, prażródła wszelkiej twórczości, jest jak owa „*Teil von jener Krafft, die stets das Eine will, und Stets das Andere schafft*“.

II. Konsekwencje stanowiska toecentrycznego są, powtarzam, wręcz odmienne. Człowiek osiąga swą względną wyższość między stworzeniami nie sam ze siebie, drogą naturalnej ewolucji, przez osobisty wysiłek, lecz przez Objawienie. Człowiek nie wyszedłby ze stanu pierwotności, wspólnej pozostałym tworom żywym, gdyby Bóg mu się nie ukazał i nie podniósł go do siebie. Gdyby nie Objawienie, nie byłoby człowieka.

Człowiek, poddany Bogu, przestaje być samotnym i bezdomnym we wszechświecie. Posiada objektywną miarę wartości i znajduje nieskończone i niewyczerpane źródło twórczości, z którego czerpiąc sam urasta duchem i krzepnie. We wzroście tym zna jednak każdorazowo objektywne granice, wytyczone przez istotę owego Nie-Ja, które zwie Bogiem. Jedynym tedy grzechem człowieka, rządzonego przez Boga, jest odwrócenie się odeń, co się objawia przedewszystkiem jako pycha, która doprowadziła do upadku Lucyfera. Owszem, ponieważ środkiem korzystania z owego Jedynego Źródła jest modlitwa, koniecznym warunkiem tejże jest pokora, twórcze niezadowolenie z siebie, krytycyzm wobec siebie; stąd rodzi się pojęcie grzechu; stąd też wypływa konieczność pokuty.

Z uznania duchowości Boga-Stwórcy wypływa prymat ducha i duchowych wartości w całokształcie kultury.

Konsekwentny teocentryzm—to monoteizm, z którego wynika społeczna zasada braterstwa między ludźmi, zaprzeczenie wszelkiej wyłączności, wszelkiego zasklepienia się osobistego, klasowego, narodowego,[1]) rasowego, albowiem poczucie objektywnej Prawdy i Dobra wyklucza wszelkie monopolizowanie owej Łaski Bożej dla pewnej tylko części ludzkości. Nie wyklucza to jednak bynajmniej hierarchji pomiędzy ludźmi i narodami. Czynna miłość—to jedynie słuszne ustosunkowanie się ludzi między sobą. Jednak pierwiastek czynu w miłości prowadzi do jej naturalnego stopniowania, z czego wypływa zasada obowiązku narodowego i in. Stąd chrześcijaństwo dopiero jest w pełnem znaczeniu tego słowa religją, gdyż łączy w sobie pierwiastki ściśle religijne, dążenie człowieka do Boga, z pierwiastkami społecznemi, miłością bliźniego. Syntezę tę symbolizuje znak krzyża, który przez przecięcie linji pionowej i poziomej, tworzy środek, sposób zbawienia człowieka (Norwid).

Człowiek, toczący wiecznie walkę ze światem i z sobą samym, nieomylnym instynktem uznał Boga za siłę dobroczynną, skąd wypłynął życiowy optymizm twórczy, nie wykluczający jednak trwogi czasowej, mającej swe źródło w małości samego człowieka, oraz w możliwej złej woli tych, co go otaczają.

Słowem, z teocentryzmu wynika przekonanie, iż wśród wichrów, szalejących w przestworzach międzyplanetarnych, jeden jest tylko prąd dobroczynny i prawdziwie twórczy, co się wytacza „z ogromnych Boga piersi“ (Norwid), w którym gdy się duch człowieczy znajduje „zdobędzie skrzydła jak gołębica i będzie latał i odpoczywał“.

III. Powie ktoś, całkiem zresztą słusznie, iż nie wszystkie kultury, wyrosłe na gruncie teocentryzmu, uznają powyższe konsekwencje, że np. mozaizm żydowski, zapamiętały w swej wyższości „narodu wybranego“ zaciął się w niechęci wobec świata, oraz w wyczekiwaniu biernem cudu, co podda świat jego panowaniu. To też grzęznie w dualizmie modlitwy i życia codziennego, nie umiejąc i nie chcąc połączyć tych dwóch światów. Zresztą nawet niektóre wyznania chrześcijańskie, np. greckie, olśnione wyłącznie autorytetem Bożym, w gruncie rzeczy sankcjonuje kwietyzm i bierność.

To prawda. Powiem nawet więcej: niema takiego logicznego i praktycznego błędu, któregoby nie można było znaleźć w mnóstwie herezyj, wyrosłych na gruncie chrześcijaństwa. Z tego względu dzieje Kościoła są najbardziej pouczającą lekturą historyczną. Ale mnie chodzi o to, że wnioski powyżej wysnute wynikają z założenia teocentryzmu w wypadku z u p e ł n e j k o n s e k w e n c j i. Jej wyrazem jest dopiero katolicyzm. Okoliczność ta jest najlepszym dowodem Boskiego jego pochodzenia i stałej Boskiej nad nim opieki.

Konsekwencję tę zdołał katolicyzm utrzymać nie przez zasklepienie się w niewolniczej wierności literze, jak to czynią kultury i wyznania zacofane; całkiem przeciwnie. Podziw budzi przemożna zdolność katolicyzmu do asymilowania twórczych wartości, wyrosłych na podłożu obcem. Wystarczy wymienić wpływ genjusza prawodawczego rzymskiego, który stworzył hierarchję kościelną i ukształcił organizm Kościoła.

Także od w. XII asymiluje Kościół filozofję grecką, przedewszystkiem Arystotelesa. Wreszcie całą dotychczasową sztukę, zwłaszcza architekturę i malarstwo, wchłonął w siebie Kościół i uczynił z niej wierną, radosną i życiodajną swą córę.

Rozpowszechniwszy się przeważnie śród Arjów, katolicyzm przejął całą ich indywidualistyczną spuściznę i dziś „łączy w sobie pojęcie najgłębiej pomyślanego u n i w e r s a l i z m u z poczuciem nieskończonej wagi, nieskończonej rzeczywistości każdej i n d y w i d u a l n o ś c i, każdej pojedyńczej duszy“ (Brzozowski). Zazadniczym bowiem dogmatem katolicyzmu, odróżniającym go od innych wyznań chrześcijańskich, jest dogmat o pochodzeniu Ducha Świętego od Boga Ojca i Boga Syna zarówno. Praktyczne konsekwencje tego dogmatu, sankcjonujące wolność i nakazujące czynną pracę w postępie ku Bogu, wyjaśnili dokładnie w naszej literaturze: Juljusz Słowacki (we fragmentach filozoficznych, wyd. Gubrynowicza, t. X, str. 548), Krasiński w dziele „O stanowisku Polski“, wyd. Czubka, t. VII, str. 122), Cyprjan Norwid (w wykładach o Słowackim, wyd. III, krakowskie, str. 55), wreszcie Lutosławski najobszerniej („Religja w życiu narodowem“, str. 39). Wedle Kościoła Wschodniego Duch Św. jak wiadomo, pochodzi wyłącznie od Boga Ojca,

---

[1]) T. zw. egoizm narodowy, głoszony u nas przez Balickiego, jest jedynie wyrazem łagodnego instynktu samozachowawczego narodu. Napadać na to hasło mogą jedynie ludzie, co nie chcą wiedzieć, co autor pod tem słowem rozumie i dlaczego używa tego terminu.

skąd płyną wyraźne praktyczne konsekwencje: despotyzm i bierność.

Nie tylko więc geneza nadprzyrodzona Kościoła katolickiego stanowi jego potęgę, ale też i owa dążność asymilacyjna. Przepięknie mówi o niej Wyspiański w „Skałce", gdy każe lirze Rapsoda wrosnąć w szkarpę kościelną. Zdejmuje lirę dopiero Biskup i oddaje ją z powrotem Rapsodowi, który przyznaje:

Twój Bóg w niej czar przetworzył,

to też Rapsod, nie straciwszy nic na swej dotychczasowej sile wieszczej, owszem wzmógłszy ją jeszcze przez gotowość ofiary, staje się wiernym sługą Kościoła i pełni nadal swe szczytne posłannictwo.

IV. Niepodobna dziś ściśle określić owego momentu w dziejach kiedy harmonijny proces rozwoju kultury katolickiej w całej zachodniej Europie doznaje wstrząśnienia. Faktem jednak jest, że w pewnym momencie historycznym tendencje odśrodkowe w społeczności katolickiej coraz wyraźniej dochodzą do głosu, by wreszcie wystąpić do otwartej walki z Kościołem, w dalszym zaś ciągu z chrześcijaństwem wogóle, wreszcie wręcz z teocentrycznym na świat poglądem. Tak to stopniowo, jak mówi Chrzanowski, „kultura traci swój punkt środkowy, swoje słońce".

Poszczególne ogniwa tego procesu rozkładowego nazywamy humanizmem, odrodzeniem, reformacją, dalej oświeconym absolutyzmem, racjonalizmem, romantyzmem, pozytywizmem, wreszcie materjalizmem, socjalizmem i komunizmem. Narazie nie uświadamiano sobie wszystkich, tak daleko sięgających, konsekwencyj tych poczynań. Niewątpliwie ogromna większość humanistów XV wieku i działaczy Odrodzenia była szczerze katolicka, jednak już Reformacja okrzyknęła Kościół za „zepsute chrześcijaństwo"; w rezultacie zwęziła zakres i istotę religji do sfery moralności wyłącznie, podporządkowując ją celom utylitarnym i czyniąc życie „mniej radosnem, ciaśniejszem, surowszem, bardziej na literze opartem" (Tröltsch).

Wiek XVII-y pogłębił jeszcze różnicę pomiędzy czasami nowożytnemi a średniowieczem. Wiek ten, „najmniej może rozumiejący historję" (Łempicki), wytworzył sam termin i pojęcie średniowiecza, czyli okresu przejściowego o charakterze ujemnym, przerwy niejako w rozwoju prawdziwej cywilizacji, t. zw. cywilizacji czysto ludzkiej, ku życiu ziemskiem jedynie zwróconej.

Wtedy to rozwinięto konsekwentnie teorje odwiecznego absolutyzmu wynosząc wszechwładzę państwa i oddzielając je stanowczo i zupełnie od ideału *civitatis Dei*. „Bezgraniczne pragnienie władzy, powodzenia i sławy wypiera ocenę moralną, jako przesąd dziecinny, a „racja stanu" usprawiedliwia w świadomości owych czasów nawet najniegodziwsze czyny" (Eucken).

W parze z emancypacją polityki z pod wpływów Kościoła idzie zupełne wysamodzielnienie się nauki, której cechą zasadniczą staje się empiryzm. Ostateczną jego konsekwencją w filozofji jest nihilizm Hume'a. Na tym gruncie powstaje Oświecenie i racjonalizm, wypowiadający już otwartą walkę chrześcijaństwu. Jeśli Kant określa oświecenie, jako wyjście ludzkości z jej małoletności, to może jednak właściwiej będzie nazwać je terminem Nietzschego—starczą lekkomyślnością.

V. Dalszym krokiem w tym samym kierunku jest romantyzm. Przeważnie przedstawia się go jednostronnie, jako antytezę racjonalizmu i klasycyzmu, gdy tymczasem najistotniejsza cecha obydwóch kierunków jest wspólna. Jest nią właśnie przeciwstawienie się teocentryzmowi i kult antropocentryzmu, w romantyzmie jaskrawszy, niż kiedykolwiekbądź dotąd w kulturze europejskiej.

Dokładniej definicji romantyzmu dotąd nie mamy, a i samo wyjaśnienie tego zjawiska dopiero się tworzy. Pochodzi to zapewne stąd, że „*au XIX-éem siécle c'est du romantisme que tout dérive*" (Cassagne), cały wiek XIX nie potrafił otrzasnąć się z romantyzmu.

Mówiąc tedy o nim, trzeba ustalić fakt, że romantyzm to nie tylko zjawisko literackie, lecz w równej mierze filozoficzne, polityczne i życiowe. Romantyzm — to pewna postawa wobec świata i ujawnia się w całokształcie życia człowieka. W związku z tem jest rzeczą jasną, że kryterja historyczne nie wystarczą przy formułowaniu jego istoty.

Drugą kwestją jest konieczność odszukania w romantyzmie jego jądra, jego kwintesencji i wytworzenie w ten sposób naturalnej hierachji wartości romantycznych. Trzeba określić, co jest typowe dla romantyzmu, jaki romantyzm może być nazwany, że tak powiem, romantyzmem klasycznym, a które natomiast zjawiska trzebaby uznać za romantyzm rozcieńczony niejako, załamany w sobie, niepewny, wchodzący w kompromis ze zjawiskami odmiennej natury.

Np. jasne jest chyba, iż w literaturze nie uznany za typowego romantyka Brodzińskiego, zaś w twórczości Mickiewicza nie będziemy nazywać „Grażyny" czy „Pana Tadeusza" utworami ściśle romantycznemi.

Potrzebę tę wyczuł Chrzanowski, lecz mylnie, mojem zdaniem, nazwał hyperromantyzmem to właśnie, co jest jego istotą, kwintesencją.

Otóż cechą zasadniczą, bez której romantyzm przestałby być romantyzmem — jest skrajny indywidualizm. Stwierdzają to wyraźnie: Lasserre, gdy twierdzi, że istotą romantyzmu jest apoteoza indywiduum („*L'individu se prend lui même pour une fin et pour un tout*"), Chrzanowski („niema romantyzmu bez indywidualizmu"), Łempicki, Rossel wreszcie Kleiner („zasadniczy konflikt romantyczny — to konflikt jednostki ze światem. Z tego wyłania się tragedja romantyczna: niedostosowanie jednostki do świata—i choroba romantyczna: fałszywe postawienie psychiki jednostkowej wobec świata"). Gdyby wykreślić ze słownika słowo „ja", romantyk każdy przestałby przynajmniej mówić, a może nawet działać.

Ten romantyzm w transpozycji filozoficznej wyraża się u Kanta jako subjektywizm, u Fichtego—jako egocentryzm, u Hegla—jako panteizm i apoteoza myśli, u Feuerbacha — jako antropocentryzm, u Maxa Stirnera wreszcie — jako solipsyzm. Z tej zasadniczej cechy romantyzmu konsekwentnie wynika niechęć do rzeczywistości, jej negacja albo dowolna jej interpretacja, ir-realizm, a-społeczność, subjektywizm, uczuciowość i fantastyczność.

Wszystkie inne cechy romantyczne uznać należy za drugorzędne, akcydentalne, czy to będzie oryginalność, czy ludowość, literackość, pan-poetyzm (Łempicki), czy swoiście romantyczny kult miłości (Rousseau), z którego wypływa ruina rodziny.

Inne zaś cechy, wskazywane przez niektórych badaczy, jako typowe dla romantyzmu, należy wręcz zakwestjonować. Do tych np. należy rzekomy ir-racjonalizm romantyzmu, o czem mówi Chrzanowski, dostrzegając w romantyzmie podniesienie czynników emocjonalnych, naturalnych, wbrew konstrukcjom myślowym wieku oświecenia. Romantyzm przeciwnie stwarza bardzo często fikcje myślowe, które suggeruje rzeczywistości: Hegel i jego szkoła, np. Cieszkowski i Krasiński, a także Wroński, który wyrywa jednostkę z jej wolą absolutną, działającą w pustce, ze środowiska

naturalnego, nie uwzględnia konsekwencyj społecznych i lekceważy wreszcie historję i czas jako czynniki twórcze. Dlatego też trzeba zakwestjonować rzekomy historyzm romantyzmu (Łempicki); owszem, romantyczne „ja“ absolutne czuje się poza czasem, niejako na łonie wieczności, dąży do stanięcia poza historją, odrywa się od „sumienia historji“ (Norwid) i jej konsekwencyj.

Dwie tedy prawdziwie zasadnicze cechy romantyzmu: jego skrajny indywidualizm i brak poczucia rzeczywistości, lub wręcz jej negacja — czynią zeń odwrotny biegun teocentrycznego stanowiska chrystjanizmu.

Przy odrobinie dobrej woli nietrudno dostrzec zdumiewającą analogję romantyzmu do filozofji indyjskiej. I tu i tam „ja“ ludzkie jest jedyną siłą twórczą; i tu i tam widzimy zaprzeczenie objektywnych cech rzeczywistości; i tu i tam wreszcie triumfują przewrotne konsekwencje pessymizmu. Napróżno Nietzsche głosi „wiedzę radosną“ i kult nadczłowieka. Słusznie stwierdza Eucken, iż „głosić radosne uczucie życiowe— to nie to samo, co uzasadnić je i utrwalić“. To też konsekwencją nitzscheanizmu staje się idea wieczystego powrotu, analogiczna do indyjskiej Samsary.

Odradza się też w romantyzmie metampsychoza np. u Schopenhauera, który był w Europie największym czcicielem mądrości indyjskiej, uderzony jej podobieństwem do naczelnego swe dzieła: „*Die Welt als Wille und Vorstellung*“.

W całości owoce czterowiekowego odwrócenia się od Boga są gorzkie i jałowe. Ubóstwione „ja“ w człowieku daje jego praktyczną antytezę. Uderzającą np. cechą wieku XIX-go jest zupełny brak stylu epoki: przy intensywnej sile przetwórczej — coraz większy zanik twórczości.

Dalsze konsekwencje antropocentryzmu — to materjalistyczna ekonomika Marxa, ugruntowana na filozofji Hegla, skąd w ostateczności wykwita komunizm.

Tak więc zamiast człowieka triumfuje maszyna, zamiast wolności— despotyzm, zamiast kultury barbarzyństwo, zamiast ciągłego postępu—bezwład i martwota, zamiast dumnej religji Arjów — panowanie Semitów.

Cykl historji dopełnia swego biegu.

(Dok. nast.) STANISŁAW CYWIŃSKI

I. K. IŁŁAKOWICZ

SZKIC PORTRETOWY

ZBIORY poezyj, oznaczone tem nazwiskiem, w ostatnich czasach coraz częściej się ukazują. Kazimiera Iłłakowiczówna talentem i wydajnością wysunęła się na czoło poetów współczesnych. Świeżo wydana (u Hoesicka w Warszawie) książka „Opowieść o moskiewskiem męczeństwie. Złoty wianek“ — jest już trzecią z rzędu na przestrzeni jednego roku. Poprzedni zbiorek nosił tytuł „Obrazy imion wróżebne“; przedtem był „Połów“. W ostatnich latach poetka wydała parę książek dla dzieci, w r. 1922 „Smierć Feniksa“, w r. 1919 „Trzy struny“ (część książki wydanej pod tymże tytułem w r. 1917 w Petersburgu). Pierwsze loty w książce zaczęły się w r. 1912; nazywały się „Ikarowe loty“. Ogółem Ił-na ma już za sobą dziesięć pozycyj książkowych. [1]) Zaczęła pisać niemal w dzieciństwie. Pod niektóremi utworami znajdujemy datę 1907 r.

1. Należy się poetce tak wysokiej miary jakieś świadectwo, że jest czytana i że budzi zainteresowanie. Nie spotkałem dotąd rozbioru krytycznego jej utworów, co tłumaczę tem, że nie tak łatwo talent tego rodzaju określić i uchwycić rysy bardzo ruchliwej indywidualności.

Trudno jej zajrzeć w oczy, bo nie korespondują z czytelnikiem, lecz patrzą gdzieś mimo, w jakiś inny świat, z normalnej wysokości człowieka niewidzialny. Nie pomoże znajomość osobista. Ił-na świecka nie ma pozornie nic wspólnego z tegoż nazwiska poetką. Jest to osoba światowa, pewna swej inteligencji i swego uroku, biegła i skrupulatna w pracy (była dotąd urzędniczką w ministerjum spraw zagranicznych). Nie wygląda na to, żeby w dzień pisywała poezje. Wytwornie wychowana, kształciła się zagranicą i na uniwersytecie (krakowskim). Była niegdyś socjalistką, ale jako dobra katoliczka, w gruncie zaś rzeczy usposobienia apolitycznego, wyrzekła się socjalizmu i należy formalnie do obozu konserwatywnego. W czasie wojny pracowała regularnie jako sanitarjuszka na froncie rosyjskim. Pochodzi ze Żmudzi; od dziecka oddychała atmosferą tradycyj Mickiewiczowskich i Zanowskich. Chętnie przyznaje się do przymieszki krwi tatarskiej w rodzie. Oto parę niezbędnych informacyj biograficznych.

2. Co do tych oczu. W książce obcując z poetą poufnie, bo dzieląc jego najgłębsze wywnętrzenia, szukamy jego wzroku między literami, aby go lepiej rozumieć i przeżywać. Obcowanie z poetą odbywa się na zasadzie wzajemnego odnajdywania się we wspólnym horyzoncie. Ił-na jest niebezpieczną towarzyszką naszej wyobraźni, bo jej horyzonty ludzkie nie pociągają. Jak Księżniczka w „Śnie srebrnym Salomei“, może o sobie powiedzieć, że ją „nie to bawi, co tych ludzi krwistych“. Jest to dusza zresztą, pomimo swej rezolutności, samotna, szczelnie domknięta od oka ludzkiego.

Jej dzień poetycki jest dla nas nocą. Mniej słońca — więcej księżyca. Nasz świat z tą atmosferą cywilizacji zachodniej, która uwydatnia człowieka, jako sprawcę wszystkiego, ów świat ludzki z uspołecznienia, ugruntowany w naszej psychice i wartościowany miarą moralną, nie jest koncentryczny ze światem wyobraźni Iłłakowiczówny. Łatwiej było się uzgodnić z Mickiewiczem czy Kasprowiczem. Ił-na jest w tem znaczeniu dla nas ekscentryczna.

Poetka obca jest światu humanistycznemu, który od czasów antycznych jest naszą sferą zasadniczą, jako że nic, co ludzkie, nie jest nam obce. Elementarny ruch duszy poetki jest odśrodkowy — nie ku życiu, lecz od życia. Muza jej nie zna erotyki, która poetom daje centralne ogrzewanie i utwierdzenie w realnym horyzoncie życia, nawet nie zna kultu słońca. Ten kult rodzi się z miłości życia, którego słońce jest dawcą. Miłowanie zaś życia dochodzi do poezji

[1]) Już po napisaniu tego szkicu otrzymałem nowy jedenasty zbiorek poezji Ił-ny p. t. „Płaczący ptak“ (u F. Hoesicka). Zebrała tutaj poetka swój smutek i samoudręczenie. Potwierdza ta książka moje spostrzeżenia i nie zmienia zasadniczych rysów, które ustaliłem.

w instynkcie społecznym, przez wzmożenie miłością ludzką. Poetka nasza na każdym kroku robi wyznania, że nie lubi życia i ludzi. W „Balladzie o kruchem sercu“ opowiada o takiej osobie, która „umiała patrzeć z wysoka chłodno i srogo i nie kochała na całym świecie nikogo“ (Trzy struny, 1917, str. 134). Na cześć życia nie wzniosła nigdy hymnu, owszem woła do śmierci: „uratuj mnie od Życia“ (Połów, 47). „Dosyć umie, dosyć zgoniono“ — tak przed sobą tłumaczy swój pesymizm; ale to nie jest przekonywujące. Dramat jej leży w instynktach. Powiększa go tylko sama autosuggestją przenikliwej świadomości i kultywowaniem we wzruszeniach poetyckich.

3. Wychowana intensywnie na poezji, wszystkie pożytki kultury obróciła na zasilenie wyobraźni, która się pali w górę, w dym, nie przetwarzana na ciepło życia. „Głowę mam w ogniu“—wyznaje w „Połowie“ (60)—„a ręce zziębnięte, jak sople lodu“. W normalnym organizmie, garnącym życie obu rękami ku sobie, dzieje się odwrotnie. Ręce, jako czynu wysłańce, mają ciepło z serca, które jest na osi człowieka, środowiska i słońca. A o tem sercu swojem mówi poetka, że jest „jako kwiat z kryształu“ (ib. 51).

Nie należy—zdaje mi się—wyciągać stąd wniosku w sposób schematyczny, że mamy do czynienia z naturą psychiki intelektualistycznej, bezczuciowej. Tembr wzruszeń poetyckich Ił-ny jest bardzo uczuciowy, lecz jej wzruszenia estetyczne w swoim akordzie psychicznym nie są pełne, nie poruszają mianowicie systemu uczuć społecznych. Nie dlatego, że są słabe, lecz że w tem miejscu jest luka. Wydaje mi się przytem, że jest to brak przyrodzony, nie nabyty osobiście. Rozmaite są usposobienia dziedziczne. Jeśli są tylko wydatne, wyznaczają dziedzicowi, czy dziedziczce odrębny kąt patrzenia poetyckiego. Poeci się rodzą ze swoim talentem. Abramowski te dyspozycje od natury nazywa potencjałem psychicznym życia przodków.

Jest coś djamentralnie różnego w naturze Mickiewicza czy Kasprowicza i w naturze Ił-ny. Pierwszy z nich z głębokiego poruszenia uczuć estetycznych mógł o sobie powiedzieć: „ja i ojczyzna — to jedno“, drugi zrobił z siebie aparat odczuwania moralnego cierpień człowieka, podczas gdy Ił-na nie bierze na siebie ciężaru zbawiania przez miłość. Jej twórczość nie ma w sobie pierwiastku prometeistycznego.

Więź społeczna nie ma dla niej uroku dobrowolności. Świat jest klatką, serce zaś zbyt kruche, aby go opanowało i w sobie zmieściło. „Ma ptaka dzikiego w sercu na uwięzi“ (Śmierć Sfinksa, 71). Przedmiotem tęsknoty poetki jest przestwór bez kresu, co przecież nie znaczy, żeby w tem nie było dramatu. Czuje ona w tem dążeniu jakiś mus fatalny. „Rzucona w przestrzenie nieznanem skinieniem, doleciałam do kresu i samotnie stygnę“ (ib. 41).

4. Poezja Ił-ny wskutek tego ruchu centryfugalnego układa się w smugi tęsknot do świata transcedentalnego, w którym obiecuje sobie szczęście. Tam dopiero za progiem świata realnego dusza zamęczona życiem staje „zachwycona i z pod przymkniętych powiek śledzi latające, migające anioły“ (ib. 49). Tutaj mają źródło religijne uczucia poetki, o których później. Pragnienie śmierci płynie z tego źródła jako zaprzeczenie życia. „Idę za wodą Zieloną. Tutaj mój kres, sen i cisza“ (ib. 56).

Ta zasadnicza postawa poetki wobec życia znalazła wyraz w jej upodobaniach artystycznych. Musiała sobie stworzyć świat własny.

Odwracając się od świata ludzkiego, stwarzała sobie nowy przez animizowanie przyrody, przez zaludnianie jej stworami i straszydlakami, w których postaciuje wątki swoich uczuć. Nie chcąc widzieć świata ludzkim, musiała go oddać w panowanie demonom. Uciekając od humanizmu, ucieka do piekła.

Oto typowe motywy: „Liściem się rodzę na gałęziach“, „ptakiem się rodzę w kobiałeczce wroniej“, „trzciną wystrzelam“. „Na ślepych losów szlakach bez kolei zielskiem wykwitam... Nie wiem, kształt jaki nowy dola sklei: jaskółką będę, chrząszczem na olszynie, efemerydą, co ze słońcem ginie? Ogromną gwiazdą w powietrzu dalekim? Wiem tylko z serca, co się w męce kruszy, że nigdy, nigdy nie zdobędę duszy, że nigdy, nigdy nie będę człowiekiem“ (Połów, 66).

Mamy więc szereg odczłowieczeń w postaci: Licha, Zmory, Urocznicy, Latawiczki, Nawiedzonej, Straszydlaczków, całą demonologję duchów, zaludniających świat dokoła, zanim poetka dojdzie do oglądania Aniołów i Świętych. Jej własne szczęście, które w marzeniu miewało skrzydła rajskie, na chwilę tylko przysiada na kamieniu, ale wnet zrzuca skrzydła i „jako konik polny ginie w trawie“ (Połów, 11).

Z temi to straszydlakami woli obcować poetka, aby tylko nie z ludźmi. A jeżeli nie z niemi, to przynajmniej — z dziećmi. Książki Ił-ny, pisane dla dzieci, trzeba wliczyć do literatury ogólnej. Utwory tam podane są zarodkami kompozycyj, powtórzonemi w bardziej kunsztownej szacie na kartkach zbiorów literackich. Nie dla potrzeb dzieci animizuje poetka swe obrazki, lecz dla własnych. Nawet dzieci nasze, jak stwierdza psychologja (Stout), już nie animizują zjawisk; jest to właściwość natur poetyckich, pamiętających stany dawne ludzkości i obdarzonych — jak określił Świętochowski — wyobraźnią ludzi pierwotnych (Poeta jako człowiek pierwotny, 1896).

Odruch poetki w kierunku odśrodkowym od świata ludzkiego wyrazić się musiał w upodobaniach tematycznych i w doborze słuchaczy. Poetka rozmawia z sobą, ze swemi widziadłami i z dziećmi. Zaludnia świat istotami nadprzyrodzonemi, aby tylko nie widzieć ludzi. Chyba na jarmarku, gdzie ludzie nieznani, ona—nieznana, jak cyganka—wróży z imion i „budząc wszystkie pragnienia, żadnemu nie czyni zadość“ (Obrazy imion, 6).

5. Dla krytyki bywa nieodpartą koniecznością orjentowanie się w formacjach cywilizacyjnych. Dusza Kasprowicza stała się dla mnie zrozumiała wtedy, gdym ją zobaczył w świetle odwiecznych dziedziczeń ludu rolnego, od wieku wieków nieruszanego z miejsca, urabiającego psychikę w ten a nie w inny sposób. Kasprowicz, czciciel życia i słońca — to konstrukcja duchowa wręcz przeciwna tej, jaką widzimy w Iłłakowiczównie. Ił-na to świetne zjawisko talentu i osobistej kultury, ale na podłożu odmiennem. To podłoże wygląda tak, jakby pochodziło z formacji cywilizacyjnej wschodniej, z okresu koczowniczego. Być może, tłumaczy się to upodobanie tem, czem sama poetka wyjaśnia brzmienie swego nazwiska — pierwiastkiem krwi tatarskiej.

W hipotezie tej niema nic obraźliwego ani dla autorki, ani dla twórczości polskiej. Zbyt jasno zdajemy sobie sprawę z tego, jakiem bogactwem dla poezji polskiej są przymieszki, wtapiające się tak pięknie w kruszec dzwonu wielkiej cywilizacji. Dla poetki

widzę korzyść z tych refleksyj, że one odciążają dramat osobisty, którym zbytnio swoją duszę dręczy.

Na to wreszcie potrzebna jest analiza krytyczna indywidualności poetyckiej, aby oddzielić wytwór literacki od tego, co stanowi w poecie grunt stały, przyrodzony, mimowolny. Twórczość poetycka, zanim się stanie literaturą, odbywa się we wzruszeniach głęboko kich niemal agnostycznie. Cząstka tylko materjału obrazowego pochodzi z przeżyć osobistych poety; reszta dobywa się z pokładów zapomnianego (kryptomnezyjnych) i tym głównym materjałem świadomość jego nie włada. Poeta prawdziwy, a jest nim Ił-na, stanowi wyjątkową organizację, zdolną do wydobywania z siebie wiekowych przeżyć, które w jego naturę złożył gatunek. Krytyka dopowiada czytelnikowi to, czego sam poeta o sobie nie powie.

6. Poeta dochodzi do pewnego poglądu na świat nie z założeń filozoficznych, lecz ze swoich reakcyj estetycznych mimowolnych. Dlatego ważne jest szeregowanie typowych jego widzeń, z których się ten pogląd na świat układa. W wyobraźni Iłłakowiczówny wybitną rolę odgrywa ogień i ruch wędrowny.

Dusza dokądś dąży, jakby ścigana od płomieni, w oczach bowiem coraz świat staje w ogniu. Typowy obraz mamy w „Ikarowych lotach“ w utworze p. t. „Straceńcy“. Pędzą oni... „Śnieg płonie! Trzymaj lejce! Dzikie rwą z kopyta konie“. Pędzą w błyskawicach (49). Mamy tu oba te elementy razem. Ale ów ogień: w „Trzech strunach“ (1917) córka czarownicy zapaliła wioskę z trzech boków. Wszystkie ptaki wyleciały z wioski i chmarą ją obsiadły, „aż wydarła się od nich ucieczką, porzucając ognistą pochodnię“ (42). Tamże w poemacie „Płomienie“ dusza pędzi na rumaku w noc bezgwiezdną (do szczęścia). Koń jak burza, a ktoś goni — słychać tętent. Jezus Marja! Trop znalazł, dogania! „Nie widzę, gdzie droga... Jakieś światła i cienie i głos jakiś... Mój własny pod niebem głos! I płomienie, płomienie, płomienie!“ (109). „Biada! Jak okiem sięgnąć płoną stosy, jako pochodnia palą się niebiosy, płomień wybucha z każdej gór szczeliny, na wszystkich szczytach stoją cherubiny z mieczami w dłoniach, jak ogniste stróże... Korona wieńcem pali moje skronie, tysiące oczu miast djamentów płonie, rąk po mnie miljon gorejących sięga... W odblasku łun, w pożarów świecie... z doliny władne i zwycięskie idzie Życie“ (Ikarowe loty, 27). Od tego życia dusza ucieka—„i już palona przeklętem zarzewiem nie wie, czy jest sobą, czy piorunem (23)“.

Na czemże polega śmierć Feniksa, nadająca tytuł osobnemu dziełu? „Podpaliłam na gnieździe Feniksa“! Płonie las, cały las się kotłuje... zwarjowały małpy... palą się na piaskach wrzosy... palą się w powietrzu głosy, palą się gile, wąż boa goreje jak długi... pali się gdzieś wysoko cienki tryl skowrończy, pali się serce słowicze... Feniks krzyczy, iskry mu idą z oczu, płomień idzie z gardła i tylko krzyku jeszcze pożoga nie zżarła (7).

Nie przypominam sobie w niczyich oczach takich żagwi — może najwięcej było u Słowackiego. Sama siebie widzi poetka jako ogień lub zuzel: „Jam jest gwiazda strącona i gasnę tak, jak brat mój Luciferus kona“ (Sfinks 11). Głowę ma w ogniu. Nawet w wizji religijnej krew staje się w jej oczach ogniem. W ostatniej książce „O moskiewskiem męczeństwie“ najpiękniejszy bodaj utwór „O dzwoniącym kościele“— to halucynacja krwi. Kościół w nocy ozwał się dzwonem i aż zanosi się dudnieniem. Bieży ku niemu we śnie Jadwisia z psem na sznurku. „Dzwon w niebo wali, kościół od ziemi aż po wieże się pali, świeci się przezroczysty i czerwony, przezroczysta i czerwona koło niego ziemia, a po gorejącym dachu i czerwonej ziemi chodzą białemi stopami Święci, Święte i Aniołowie“... (33).

Ten ogień nie parzy, jest raczej barwą, a często na słuch działa, jak krzyk ostry trąby. Jest symbolem przerażenia. Narzucanie się poetce tych halucynacyj przy głębszem wzruszeniu, musi nasuwać przypuszczenie, że istnieje i tutaj pewien „potencjał psychiczny“ z dziedzictwa. Kasprowicz ma w pamięci słońce z dawnego kultu przodków, Iłłakowiczówna jest do dziś czcicielką ognia. A to jest też z dalekiego wschodu.

Owe pożogi, krwawe łuny i zgliszcza wiążą się w całość z pędem naprzód, aby dalej od świata, który się pali — i niech się pali! Dusza poetki, jak Hestja szukająca lepszych światów, zostawiając za sobą piekło, pędzi naprzód z żagwią w ręku. Przecież nie podpaliłaby świata—jako człowiek pewno dobrze mu życzy — ale takie jest prawo jej wyobraźni intymnej, poetyckiej.

„Poza morza pójdę sine, za góry... W bezgraniczną dal popłynę, za te morza wielkie, sine — byle prędzej, byle dalej od ogromnej ludzkiej fali — ponurej“! (Trzy struny 1917, str. 79). Inne motywy narastają z latami, jak widzenia religijne, ale owa wędrówka jest już w najpierwszych utworach.

„Tęsknotą chory, tęsknotą gnany nie wiem — gdzie iść“ (Ikarowe loty, 33). „Nad Lety północnej, brzegiem idę bez końca, bez końca... Nie czuję żalu— przechodzień podróżny“... (ib. 37). „Gdzieś za dziesiątą górą, tam tęczowe zamki, wieże“ (ib. 41).

7. Na tem tle trzeba widzieć tematy Iłłakowiczówny religijne. Co do nich trzeba się porozumieć. Część tylko utworów z temi tematami można zaliczyć do religijnych, t. j. będących w prostym związku ze stanem modlitwy. W „Połowie“ zwłaszcza są przepiękne religijnej treści liryki. Ale większość ich ma charakter zainteresowań eschatologicznych. Wyobraźnię poetki uderza problem świętości, a w tem, co ona w świętości widzi, łatwo doszukać się związku z owemi poprzednio zaznaczonemi motywami ucieczki od świata.

W miarę wzrostu tych zainteresowań pogańskie postaci mitologiczne ustępują miejsca Aniołom i Świętym. Ruch odśrodkowy, pędzący duszę od świata, ma za swój kres bramy świata transcedentalnego. Hestja wpada tam z żagwią, pali się jeszcze w jej wyokraźni kościół, do którego się chroni. W imieniu dusz, które „nie kochały nikogo“ i źle im było na świecie błaga św. Odylona: „My umęczeni podróżni, miłością żywych za życia szczuci i ścigani... Ręka, którą nam podają żywi, tak miłosna, znowu nas chwyta... i uwięzi i wtłoczy nas w krosna“. Bardzo wiele wyjaśnia ta spowiedź. Życie wciąga w krosna istnienia, jak nić, aby z niej tworzyć człowieka zbiorowego. Indywidualizm wolności nieorganizowanej wyrywa się od tej miłości życia. Dusza modli się o sposób ucieczki ze świata (i tu znowu typowy obraz): „Z płomienia modlitw czystych daj dostąpić mostu, z ognia co nad twą głową chwieje się widomie, daj dla nas płomię. Wtenczas się z świstem skręci lina gorejąca, runie w pustkę złota droga, o Święty Odylonie, i po niej wejść nam prosto w serce Boga“ (Opowieść o mosk. męcz., 40).

Bóg w tem widzeniu rzeczy jest światem zewnętrznym, nie tylko istnieniem transcendentnem, ale metą dążeń ludzkich odśrodkowych. Nie wyobraża Go sobie poetka jako siły immanentnej powszechnej: świat jest piekłem, od którego rubieży, zaczyna się życie rajskie. Do Archanioła modli się: „weź w ręce mój płomień bezdomny, niech po rozstajnych ze złem nie hasa — niech się rozpali na światy w Twem ręku... Weź płomię moje, weź miłość moją, bo tu się kończę ja, a zaczyna się Bóg“ (Połów, 126).

Więc i tu mamy odśrodkowość. Uczucie religijne nie zasila życia, nie dąży do przebóstwienia go, lecz jest raczej ucieczką. Tego typu duchowość nie odczuwa Boga, jak św. Teresa, jako swojej własności wewnętrznej (zamkniętej w „siódmej komnacie“ duszy), jako swojej radości i uświadomionego spokoju. Świętość i rajskość pociągają poetkę, jako błogi stan eksterytorjalności ziemskiej i zachwycenia. I znowu jest sposobność zestawienia z Kasprowiczem, który zbierał Boga w siebie stopniowo, aż zamieszkał w jego „siódmej komorze“, prześwietlając życie radosnym spokojem.

Ostatnia książka „Opowieść o mosk. męczeństwie“ osnuta jest już całkiem na widokach tego świata nieziemskiego, zaludnionego Świętymi. Do nich należą męczennicy polscy księża z procesu moskiewskiego, których poetka miała sposobność poznać podczas wojny. Jedyny to wypadek w jej twórczości, że dała oparcie swojej wyobraźni o historyczne fakty i osobistości. Oczywiście zarówno postać umęczonego ks. Budkiewicza, jak i krwawego cara bolszewickiego Lenina są tylko motywami legendy. Zwracam uwagę w tym bardzo pięknym poemacie na modlitwę przedśmiertną ks. Budkiewicza. Poetka czuła intuicyjnie, że ten sługa Boży był jednocześnie bohaterem narodowym, miłującym Ojczyznę, że był to typ psychiki mocno wrośniętej w życie, kochający ten świat, którego zbawieniu służył. Chciała to w modlitwie wyrazić, ale nie mogąc odszukać w sobie odpowiednich strun lirycznych, podsunęła modlącemu się nie obraz dziejącego się w duszy dramatu pożegnania, lecz wiedzę o tem, co żegna przez wymienienie dydaktyczne elementów geograficznych Polski. Widzę w tem dowód, że trafne poczucie artystyczne odprowadza poetkę od świata realnego ku wolnemu tworzeniu światów „ekscentrycznych“, fantastycznych i hieratycznych przy zachowaniu ścisłem egocentryczności uczuciowej. Prześwietlanie i przebóstwianie świata realnego nie leży w naturze jej środków poetyckich.

8. Podziwiać należy siłę talentu, który przy tej zasadniczej wobec życia postawie potrafi tyle świata nowego do życia powołać środkami realistycznemi. Wielką rolę w twórczości Ił-ny spełnia świadomość artystyczna. Świadomie stylizuje w sobie człowieka pierwotnego, a zwłaszcza „nawiedzonego“, aby uprawdopodobnić swoje widzenia i uczucia. Dla tego tak często potrąca o psychologję czarownic, ciot, nawiedzonych, latawic i t. p. To też twórczość jej przedstawia ciekawe zjawisko autosuggestji, jak tego typu duchowość, zostawiona całkowicie sobie, zamknięta szczelnie od świata, oderwana od kształtujących ducha uczuć społecznych, sama siebie przetwarza i obsiewa mistycznem kwieciem poezji. Na całym obszarze jej dzieł nie widać śladów flory politycznej i społecznej. Owo początkowe w pierwszej książce potrząsanie sztandarem, bliżej zresztą nieokreślonym w barwie, było zdaje się daniną porywów towarzyskich, bo bez konsekwencyj późniejszych. Najbardziej realnie dźwięczą zwroty ku matce i latom dzieciństwa, pozatem wszystko ma cechy halucynacyj samotniczych.

Powtarzam, co już wyżej zaznaczyłem, że nie jest to dusza mało uczuciowa, lecz nie zasilają jej uczuć wymienne dopływy z życia. Inni poeci, mający tyleż, co ona kaloryj ciepła uczuciowego, większą przedstawiają siłę życiową. Uczuciowość zaś tego typu, zostawiona bez wymiany ze środowiskiem, zżera duszę płomieniem udręki i tą udręką oczyszczona, wyzwala się w sztuce w wartościach czysto artystycznych.

Iłłakowiczówna ma w tem znaczeniu swoją własną treść poetycką. Od nikogo natchnień nie bierze. Wytwarza też swoistą formę. Z początku była w niewoli ogólnie przyjętych form wiersza stroficznego, ale odrazu posługiwała się nim z niepospolitą biegłością. Cechowała ją odrazu dojrzałość formy i słowa. W powojennym okresie twórczości chętnie zrzuca z siebie gorset strof regularnych, dając folgę upodobaniom dowolności. Wiersz nie układa się już w czwórki, lecz grupuje się w okresy według potrzeby obrazu, a miara ich obok siebie jest różna, często 24, nawet 27 zgłoskowa, na zmianę z 2—4 zgłoskową*). Robią one wrażenie, że poetka czeka rymu, a gdzie on padnie, tam wiersz ucina. Są to zawsze frazesy muzyczne, zawsze rytmiczne, ale o dowolnej ilości taktów.

Długie wiersze płynące, jak chód miarowy, robią wrażenie zapędzenia się duszy zagonami w dal niezakreśloną. Przypominają często recitatiwa pieśni ukraińskiej przy lirze. Mówiąc nawiasem, muzykalność poetki chwyta rysunek słyszanych pieśni ludowych i doskonale go stylizuje. Przykład mamy w legendzie o Leninie, komponowanej w duchu byliny starorosyjskiej.

9. Przyspieszając dla braku miejsca koniec, spostrzegam teraz, że w tym szkicowym wizerunku nie zaznaczyłem rysu bardzo ważnego — kobiecości. Obowiązkiem męskości krytyka jest tę właściwość w utworach widzieć i z odwagą wskazać.

Tutaj byłoby miejsce na zrobienie wogóle kwestji z twórczości kobiet. Czy nie należałoby wydzielić jej w poddział twórczości ogólnej? Sprawa wydaje się ważną dla tego, że coraz więcej kobiet pisuje poezje i że dzisiaj kobiety, im bardziej po męsku noszą głowę, tem bardziej po kobiecemu noszą serce. Ściślej mówiąc poezje ich dzisiaj są bardziej kobiece, niż dawniej. Ale temu należałoby poświęcić osobne studjum.

W danym wypadku, dotyczącym Ił-ny, zagadnienia tego poruszyć należałoby tylko tyle, ile potrzeba do zaznaczenia, że właściwy kobietom uczuciowy stosunek do środowiska sprzyja liberalizmowi społecznemu i bardzo łatwo staje się dążeniem odśrodkowem, buntującem jednostkę przeciwko więzi społecznej, w każdym razie sprzyja egocentryzmowi i pesymizmowi. Dla tego nie tylko inaczej się pisze poezje kobiece, ale inaczej też się czyta. Mężczyzna nie jest już tak szczery w mizantropji i pogardzie świata, jak kobieta. U Ił-ny nie mógłbym znamion duchowości, przez siebie wskazanych, przypisać temu jedynie, że jest kobietą. Jest to bowiem natura głębsza, niż wiele talentów męskich. Niewątpliwie kobiecość tamte cechy wzmacnia, ujawniając je szczerzej i jaskrawiej. Talent jednak poetki zasługuje na to, aby w sposób zbyt uproszczony nie przechodzić nad nim do wniosków sumarycznych, bez zgłębienia indywidualności.

ZYGMUNT WASILEWSKI

*) Formę tę zastosowała przedtem Marja Grossek (w książce „Orzeł oślepły“) do psalmodji: *Miserere mei Domine.*

WIERSZ NORWIDA

O „GENERALE DEMBIŃSKIM“ RODAKOWSKIEGO

PRACUJĄC od dłuższego czasu nad monografją o Henryku Rodakowskim, znalazłem wśród papierów artysty, użyczonych mi łaskawie przez córkę wielkiego malarza, p. Marję Woźniakowską, interesujący przyczynek do twórczości Cyprjana Norwida, tego tragicznego, za życia zapomnianego i wzgardzonego poety, którego imponujący tors duchowy — do dziś jeszcze fragmentaryczny — zaczął się powoli odsłaniać naszym oczom dopiero w dwadzieścia lat po jego śmierci, dzięki wydawniczym, biograficznym i syntetycznym pracom Miriama, Krechowieckiego i innych.

Wspomniany dokument literacki jest to list Cyprjana Norwida do Juljusza Kossaka z pierwszej połowy września 1856 r., z załączonym do niego wierszem o słynnym portrecie Rodakowskiego, przedstawiającym generała Dembińskiego. (Obecnie własność Muzeum Narodowego w Krakowie).

Portret ten, który stał się podwaliną sławy Rodakowskiego, został wystawiony po raz pierwszy w Salonie paryskim w r. 1852. Bohater polskich i węgierskich walk o wolność siedzi pod namiotem, w ciemno-zielonym mundurze generała węgierskiego z kampanji 1849 r., w lisiurze, wyłożonej czarnym barankiem i ozdobionej złotemi szamerunkami na rękawach. Szeroko rozstawione nogi okryte obszernemi pantalonami. Obok niego na beczce od prochu rozłożona mapa. Odchylone płótno namiotu ukazuje obóz pełen żołnierzy i daleki pejzaż ze wzgórzami w głębi. Zadumany, stary wojownik obmyśla plan bitwy. Siwą głowę o wysokiem czole i wydatnym nosie, okoloną srebrną brodą i ozdobioną sumiastym białym wąsem, podparł prawą ręką, lewą trzyma na rękojeści szabli. Twarz tchnie hartem i energją, choć w oczach w dal zapatrzonych maluje się smutek nadaremnych walk z tyranją. Portret posiada pierwszorzędne zalety malarskie: kompozycję potężną w swej monumentalnej prostocie; niesłychaną, Holbeina przypominającą dokładność w modelunku twarzy i rąk, karnację ogromnie naturalną, wyraz psychiczny, uchwycony z subtelną przenikliwością, wreszcie koloryt wytwornie sharmonizowany, dźwięczący głębokim akordem tonów ciemnozielonych, ciemno-żółtych i złotych, rudawo-bronzowych i sciszonej czerwieni. Jest to jedyny portret Rodakowskiego pomyślany i skomponowany jako obraz historyczny, przy użyciu stosownego tła i odpowiednich akcesorjów, a zarazem jedyny portret, który w kompozycji, psychice i nastroju jest typowem dziełem romantyzmu.

Portret Dembińskiego, za który młody, bo zaledwie 29-letni, Rodakowski otrzymał złoty medal I-ej klasy, był prawdziwem zdarzeniem artystycznem w Paryżu, a zwłaszcza oczywiście wśród kolonji polskiej. To też jest rzeczą trochę dziwną, że — jak wynika z listu do Kossaka i z daty wiersza—Norwid, który oddawna już w Paryżu przebywał, a będąc sam, jako uczeń warszawskiego malarza Kokulara, zdolnym rysownikiem i rytownikiem, niewątpliwie żywo się sztuką plastyczną interesował, zobaczył ten portret po raz pierwszy dopiero w połowie września 1856 r. Tłumaczy to się zapewne samotniczym i zawsze trochę ekscentrycznym trybem życia poety.

Wiersz swój skomponował Norwid pod bezpośrednim wrażeniem portretu Rodakowskiego, wracając z pracowni artysty, gdzie go oglądał.

Poemacik ten spisany został na ćwiartce żeberkowego papieru listowego (szer. 13 cm., dł. 18 cm.). Na podobnej ćwiartce, nieco dłuższej (20 cm.) napisał poeta list do Kossaka. Zachowana przednia część koperty z tego samego papieru (ze znakiem wodnym, którego tylko mały fragment jest widoczny), nosi napis:

Monsieur Jules
de Kossak
artiste peintre
rue de Vanneaux. 391
(en ville).

Nadto stempel poczty paryskiej z datą 15 sept. 56.

Przytaczam poniżej list i wiersz z zachowaniem formy zewnętrznej, ortografji i interpunkcji poety.

I.

SZANOWNY JULIUSZU

Tyś mię wysłał zobaczyć portret przez Rodakowskiego dokonany — Tobie posełam c o t a m z o b a c z y ł e m [1]) — schowaj, a jak przyjdę to Ci to odczytam, bo to się czyta akcentem greckim — a teraz przyjść nie mogę tak zapracowany jestem.

Cypryan.

do widzenia.[2])

II.

1. Jest ci to o n,[3]) tam, gdzie nie kłamią twarze
Gdzie czujny dziejów stil, nikomu ni(e) uwłóczy;

2. Jest ci to on, kiedy słuchając — każe —
Za wzroku patrząc kres, milczy, i milcząc uczy...

3. Ten samy włosa snop, co z chełmu (sic) zda się grzywą
Pogoda ruchów w takt, heroicznemu śpiewowi:

4. Sybirskie — futro wziął,[4]) i ręką waży leniwą
Acz mu należy się, więzień i wygnań krolowi!

5. Horągwi (sic) za nim krew? czy łuny, szyba, czerwona?
Przeszłość jakiejść tło — co się rozdziera... i kona!..

6. Granitu przy nim słup, ręką budzony z uśpienia
Przedpotopowy tom, dziejów i rysów stworzenia...

. . . .

pisałem —
powracając z pracowni
gdzie portret

Cypryan N.

1856
wrzesień.

U w a g a. Niektóre wiersze autografu, a mianowicie druga połowa 1-go wiersza 2-ej strofy, drugi wiersz 3-ej strofy, pierwszy wiersz 4-ej strofy, pierwsza połowa pierwszego wiersza 5-ej strofy i pierwsza połowa pierwszego wiersza 6-ej strofy — są podkreślone czerwoną kredką, prawdopodobnie nie przez Norwida, ale przez Kossaka, a najpewniej przez Rodakowskiego, któremu Kossak list i wiersz Norwida dał do jego archiwum.

---

[1]) Podkreślenie Norwida.

[2]) O ile cały list pisany jest spokojnem, ładnem pismem, przypominającem charakter pisma Słowackiego, o tyle sześć słów ostatnich napisał Norwid pośpiesznie, nerwowo i nieczytelnie — widocznie po jakiejś przerwie.

[3]) Podkreślenie Norwida.

[4]) W autografie było najpierw: tknął. Słowo to potem poeta przemazał i napisał u góry: wziął.

* * *

W tym krótkim przygodnym wierszu jest cały Norwid: i jego uroczysty, kapłański patos, udrapowany w klasyczną togę i zastygły w monumentalnym geście jego ustawiczny wysiłek odnajdywania głębi w każdym przejawie życia, jego skłonność do ogarniania szerokich, przez wieki idących horyzontów dziejowych, a zarazem jego styl zagmatwany, niejasny, z trudem myśl wyłaniający, chropawy i twardy, jakby w opornym kamieniu kuty.

Jakże na wskroś norwidowska jest ta wskazówka, że wiersz trzeba czytać „akcentem greckim", albo to „uczenie milczeniem". Jak potężnie pokazuje się lwi pazur wielkiego poety w takich doskonałych metaforach, jak „tło przeszłości, co się rozdziera i kona", lub jak ten „słup granitu, który ręka budzi z uśpienia".

Z porównania opisu Norwida z portretem Rodakowskiego wynika, że poeta „zobaczył" w nim mnóstwo rzeczy, których w obrazie wcale nie ma. Dembiński u Rodakowskiego ani „słucha", ani „każe", ale duma i snuje plany. Nie ma też wcale „snopa włosów, co hełmu zda się grzywą". Przeciwnie uwłosienie jego głowy jest dość rzadkie, a natomiast wąs rozrósł się potężnie. Nie może być mowy o „pogodzie ruchów" w pełnej smutnego zamyślenia pozycji generała. Węgierską wojskową lisiurę zamienił Norwid na „sybirskie futro" i każe je generałowi „ważyć ręką leniwą", podczas gdy Dembiński „waży" co najwyżej jedną ręką swą głowę, a drugą rękojeść szabli. Poza nim niema ani „krwi chorągwi", ani „czerwonej szyby łuny", tylko całkiem prozaiczne płótno namiotu. „Przy nim" wreszcie nie „słup granitu" stoi, ale leży przewrócona dnem do góry beczka od prochu.

Rodakowski, zdziwiony zapewne tem przekształceniem swego portretu, właśnie te miejsca, które zawierają odstępstwa od ścisłego opisu, podkreślił czerwoną kredką.

Te podświadome permutacje, dokonane w kilkanaście minut po obejrzeniu obrazu (bo w czasie powrotu z pracowni artysty), są również niezmiernie znamienne dla mocnej indywidualności Norwida, wszystko przekształcającej odrazu na swój styl. Autor „Promethidiona" z punktu w miejsce portretu Rodakowskiego wymalował w wyobraźni swój, zupełnie inny portret generała Dembińskiego, patetycznie wzniosły i po grecku akcentowany, który z tamtym ma wspólną tylko jedną rzecz, co prawda zasadniczą, to mianowicie, że stary bojownik wolności „patrzy za wzroku kres i, milcząc, uczy".

WŁADYSŁAW KOZICKI

GROZA NADSKALNA

Na poszarpanych grzebieniach wierchów olbrzymich i nagich,
przedwiecznem dłutem wiązanych w nadludzko piękną koronkę,—
na ścianach, straszliwie przepastnych, piętr skalnych, ganków, wykuszów, —
co sterczą zawrotnie wysoko nad dolin kamiennem korytem, —
rozsiadła się niepodzielnie, — jak prawdy wieczne potężna,
jak one niewidzialna, a przecież skróś wszystko wyczuta —
Groza. Dziki majestat jej patrzy w twe oczy śmiertelne:
nicość ukazał ci twoją — — A jednak cię rozkosz rozpiera,
bo sercem tych martwych pustkowi, nad śmiercią ziejące otchłanie,
nietknięty wąską przeszedłeś percią, co wężownicą
snuje się hardą, przez głaźne tafle, złomy, piarżyska
i przycupnięte lękliwie pośród nich strzępki murawy.
Nietknięty, boś Grozy nie wyzwał i czoło przed władztwem jej kłonił,
po szlakach jej stąpał jak pielgrzym krokiem nabożnym i cichym.
Przeto cię do zaszczytu wzniosłego dopuścić raczyła:
uczty z nią obcowania sam na sam, gdy nad twą skronią
własne jej skrzydła trzymały pieczę, a w członkach twych rosła
gibkość, rzeźkość i siła! — — —
Odejdziesz stąd pokrzepiony
w kraj nizin o drogach beztroskich, w dalekie może być strony,
chowając smak i pamięć — spożytej w odludnym zakątku —
w dziedzinie, którą kochają wichry, śnieżyce i gromy —
skupionej, oczyszczającej, przedziwnej komunji z przyrodą:
Bowiem taką gotowi niewiędniejącą nagrodę
Groza nadskalna, siedząca na szkarpach olbrzymów z kamienia,
tym, co jej nie uwłóczyli, lecz w państwa jej weszli granice
czci pełni i namaszczenia. — —

STANISŁAW BĄKOWSKI

LIBERUM VETO

Nowa lekcja historji. — Łamigłówka. — Miara pospolitości. — Rezerwoar sił. — Trudna zagadka. — Zwężanie obszaru. — Dziedzina schaotyzowana. — Rumowisko. — Zamiast oświaty polityka. — Wołanie i odpowiedź.

HISTORJA dała nam kilka bardzo pouczających i bardzo smutnych lekcyj skutków zaniedbania ludu w oświacie i uprawnieniu. Rewolucje: Kościuszkowska, Listopadowa i Styczniowa, w których on zachowywał się biernie lub wrogo, wykazały dowodnie, że bez czynnego udziału tej masy społecznej naród ani ostać się, ani wyzwolić się nie mógł. Dziś doświadczenie powtarza nam tę naukę w nowej postaci: mamy przygotowaną do życia i działania politycznego tylko cienką warstewkę inteligencji, która nie zawiera dostatecznego zasobu sił, potrzebnych do utrzymania państwa w ładzie i rozwoju. Zebrano pewną ilość jednostek uzdolnionych do rządzenia lub tylko amatorów chciwych władzy, którzy niby sześciany łamigłówki, mające na każdym boku kawałek widoku, daje z siebie układać obrazki w zabezpieczeniu białem lub czerwonem albo nawet—jak obecnie—cudaczne kombinacje niedopasowanych kawałków w obu kolorach. Ciągle występują na scenę teatru rządowego ci sami, przeważnie wygwizdani aktorzy, którzy w świeżem ucharakteryzowaniu usiłują zdobyć oklaski, a wywołują szyderstwa parteru lub galerji. Jeżeli zaś ukażą się artyści nowi, to zwykle ciągnięci z dołu na górę nagłym podrzutem karjery Potiemkinowskiej: kazano feldfeblowi być generałem i został generałem. Skutkiem długiego doboru i panowania mierności, uprawnił się normalny typ rządowca, którego charakter i zdolności nie przekraczają granic pospolitości. Jakiś duch wylęgły w krótkiej, bo zaledwie kilkoletniej tradycji czuwa nad tem, ażeby każde jajko ministerjalne nie było większe od wyciętego w próbnej deseczce obwodu i przesuwało się przezeń bez oporu, ażeby w szpalerze żadne drzewko nie wyrosło nad inne—wtedy jajko się usuwa lub tłucze a drzewko przystruga się lub wyrywa.

Na naszym Olimpie rządowym żyje od początku nienawiść do genjuszu. Ta nienawiść, ten kult miernoty utrzymuje się właśnie dzięki bardzo cienkiemu i ubogiemu pokładowi, z którego czerpane są siły umysłowe do kierowania losami państwa. Lud w masie swej ciemny, przez demagogję ogłupiony i obłąkany, dostarcza ich bardzo skąpo. Gdy został obdarzony pełnią praw i dopuszczony do czynnego udziału w życiu politycznem, nie wszedł na arenę jako ogromny zastęp światłych, dojrzałych umysłowo i społecznie obywateli, ale wegnany na nią został przez wodzirejów, jako tłum głodnych i chciwych łupieżców, pragnących nasycić się i zbogacić kosztem państwa. Bierny, ciemny, otępiony długim upośledzeniem był on zawsze nierozwiązaną zagadką, ale dzięki wydobyciu z jego duszy przez demagogję najniższych instyktów stał się zagadką jeszcze trudniejszą. Dawniej wierzyliśmy, że gdy oświata rozwinie w nim pierwiastki szlachetne, stanie się on dobroczynną i twórczą potęgą narodu; dziś po ostatnim doświadczeniu ta wiara osłabła lub nawet ustąpiła miejsca zupełnemu zwątpieniu. Niesłusznie. Jest to przesądzanie sprawy na mocy przygodnego jej stanu. Jak lud nasz był sfinksem w poddaństwie, tak jest nim znowu w rozkiełznanej niezależności. Czem on właściwie jest, a raczej czem oświecony i uspołeczniony być może — nie wiadomo. W każdym razie byłoby dziecinną, jeśli nie karygodną lekkomyślnością przekreślać wartość i znaczenie olbrzymiej większości narodu z tego jedynie powodu, że ona wyszła z wojny rozchciwiona i zmaterjalizowana, kiedy w takim samym stanie wyszły z niej inne żywioły, dostatacznie uświadomione i z patrjotyzmem, które ugrzęzły w błocie nieprawości. Nie kryjąc przeto moralnych skaz powojennych naszego ludu, nie należy rzucać na niego szczególnej nagany wobec faktu, że one pokalały całe społeczeństwo i nie najbardziej w niższych jego warstwach. Nie możemy nadto pośpiesznem rozczarowaniem zwężać obszaru zdrojów sił naszego odrodzenia.

Dla każdego niesfanatyzowanego klasowo umysłu stało się oczywistem, że odrodzenie to nie może się dokonać mocą tego zasobu świadomej energji twórczej, jaki posiadamy, czyli mówiąc językiem najczęściej powtarzanych narzekań — „nie mamy dość ludzi“, ludzi zdolnych, ukształconych, umiejących należycie spełnić najtrudniejsze zadania państwowe. Jeżeli zaś ich dopływ może wyjść tylko z ludu, to jako pierwszorzędna sprawa staje przed nami rozszerzenie i pogłęgienie oświaty, słowem szkolnictwo. I właśnie ta dziedzina jest może najbardziej schaotyzowana. Przedstawia ona obraz bezładnego rumowiska, kanałów robót rozpoczętych i gruzów robót zburzonych, ustaw niedopasowanych, rozporządzeń sprzecznych, przepisów rozumnych i pomysłów warjackich lub zrodzonych z nieudolnej oryginalności. W tem rumowisku grzebie się gromadka poważnych pedagogów, śród rozbitków losu wyrzuconych przypadkowo na brzeg tej dziedziny życia, śród agitatorów i siewców burzy społecznej, śród sportowców radykalizmu, usiłujących ustanowić jego niepobite rekordy, śród improwizatorów nowej metody wychowania, przeciwnej wszystkiemi punktami naturze i logice. Nauczyciele szkół powszechnych, zamiast całą swoją uwagę i staranie poświęcić rozwiązaniu tej 50 procentowej ciemnoty, która dotąd zalega naszą wieś—politykują; nauczyciele szkół średnich, zamiast przygotowywać młodzież do studjów naukowych, do zawodów praktycznych i prac obywatelskich — politykują. Nic w przenikaniu społeczeństwa coraz szerszem i mocniejszem światłem widzą oni główne swe zadania i obowiązek, lecz w agitacji, w zatruwaniu młodych dusz jadem partyjnictwa, w rozstrzyganiu przed dziećmi, czy w Polsce rządzić powinna prawica lub lewica, czy zamordowanie kilkuset i okaleczenie tysiąca ludzi w rokoszu majowym było cnotą czy występkiem, czy panować w Polsce ma Piłsudski, czy Habsburg, może jakiś Wyzwoleniec i t. d. Skąd naród może otrzymać świeże zapasy sił a zwłaszcza wydobyć je z ludu przy takich przewodnikach oświaty? Może tylko osiągnąć to, co ma: Wasze programy są jedynie mizernymi kagankami w gęstych mrokach, niezdolnymi oświetlić dróg życia; przedewszystkiem dajcie nam mądre i celowo urządzone szkoły i rozumnych, miłujących swój zawód, niepolitykujących nauczycieli. Niech te szkoły trwają, niech nie zmieniają się wraz z każdorazową zmianą ministra, niech ich kierunek nie zależy od gustu i zamiaru pierwszego lepszego, a raczej głupszego nowatora, niech to będą stałe przybytki różnostopniowej wiedzy, a nie domki z kart partyjnych co pewien czas zdmuchiwane prądem nowego wiatru.

Jeżeli naród tak woła słowem pisanem i powszechnem pragnieniem — co mu na to odpowiada warstwa rządząca? Musimy rozdrabniać partje istniejące i tworzyć nowe, coraz mniejsze i coraz mniej między sobą różne; musimy rozbić społeczeństwo już nie na wielkie odłamy, ale na grupki, garstki, szczypty. Bo chociaż to rozproszkowanie osłabia siły narodu, ale obiecuje zaspokoić naszą żądzę władzy — największy głód, jaki nam dokucza. Gdy państwo w swych podwalinach, ścianach i wiązaniach popęka, wciśniemy się

do jego rządu jakąś szparą, jakąś niezatkaną dziurką. Stanąć na głowach tłumu i na tem podniesieniu wdychać balsamiczne powietrze władzy, deptać pokornych i głupich i wzamian za to odbierać od nich hołdy — oto najukochańszy cel i największa rozkosz patrjotyzmu. — W atmosferze takich nastrojów wyszedł polski przekład „Ducha praw“ Montesquieu'go. O ironjo!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

ZLIKWIDOWAĆ!

BIORĘ do ręki „Epokę“. Jest to dziennik sanacji moralnej, oficjalnie autoryzowany. Piszą go coprawda żydzi, a to dla tego, że właśnie sprawa się waha, czy mamy być Polską, czy też wejdziemy do Paneuropy jako kanton semi-polski. Departament kultury umysłowej, taktu i dobrego smaku powierzono p. Wassercugowi. Taka wyręka jest prawdziwem dobrodziejstwem dla rządu, w którym zasiadają sami inżynierowie i wojskowi. A dla społeczeństwa wielki pożytek. Odrazu dowiaduje się, jak się ma zachowywać czy w polityce, czy w sprawach religijnych, czy w etyce, czy w literaturze.

Otóż w pomienionym numerze „Epoki“ p. Wassercug wykłada z kursu sanacyjnego zasady dla dramaturgów polskich. Bierze asumpt z komedji Fijałkowskiego (której nie znamy, bo nam teatr Letni wstępu na premjery odmówił). Musiał p. Fijałkowski zapomnieć się i usiłował widocznie z publicznością polską wejść w jakiś intymny stosunek duchowy, bo p. Wassercug bardzo się rozgniewał:

„Ludzie ci (dramaturgowie) — powiada — pretendują nie tylko do tytułu twórców i pierwszych gwiazd literatury. To ponadto... wodzowie duchowi narodu! Kaznodzieje, moraliści, przewodnicy, nauczyciele polityczni! Tę głupią maskaradę należałoby zlikwidować. W żadnem mniej więcej inteligentnem towarzystwie nie słyszy się tyle żenujących idjotyzmów, ile podają nam ze sceny ci „nauczyciele“. Wszystkie ich „problematy“, klątwy i błogosławieństwa, wszystkie ich „satyry“ i t. zw. „gorzkie słowa prawdy“ — to wtrącanie się do poważnych a nie swoich rzeczy, to pusta, bezmyślna i przygnębiająca frazeologja, to zarazem — co tu owijać w bawełnę! — niemała bezczelność. Pilnuj szewcze kopyta, a ty, panie rzemieślniku teatralny, nie udzielaj rad zbawiennych narodowi! Baw publiczność i na tem zarabiaj, a spraw poważnych, bez pojęcia o rzeczy, nie dotykaj!“

Baw publiczność i na tem zarabiaj! To się nazywa wziąć w obronę „Naród“. Nareszcie dzięki sanacji moralnej doczekała się literatura polska słowa prawdy. Zdawało się, że już Warszawka jest wykastrowana, że już literat, a zwłaszcza sceniczny, nie będzie miał zachcianek narodowych, a tymczasem co rusz — dramaturg dobiera się do duszy narodu. A to Polska, a to tradycje, a to jakiś charakter, a to sumienie. Zorganizowano już boyówki z krytyków, walono po łbie autorów premjery jednego za drugim. Nic nie pomagał Zmasakrowano już Erbena, Brończyka, Siedleckiego. Teraz znowu Perzyński zaczyna po dawnemu serjo komedję traktować. Cierpliwość się przebrała i padł ofarą tytułem przykładu Fijałkowski. W rozkazie dziennym powiedziano dosłownie: „zlikwidować!“

Nie mogą się Polacy oduczyć starych przesądów, że twórczość jest funkcją narodową. Mimowoli ciągnie ich coś do narodu swego, że chcieliby widzieć w nim zbiorowość świadomą uczuć swoich i dążeń. A żydzi tego nie lubią. Za to płacą, żeby się zabawić. Przepraszam—mówi p. Wassercug—teatr jest dla wszystkich. O tem zresztą, jak ma publiczność czuć i chcieć, o tem pomyślą inni. Od tego—od maja—jest sanacja moralna—już tam inni o tem pomyślą, są odpowiednie instancje, dzięki Bogu!

Zlikwidować! Pilnuj szewcze kopyta. Baw publiczność i zarabiaj. Zlikwidować rządy dusz w literaturze. Nie może być państwa w państwie.

Ot, i doczekał się Fijałkowski. Czemuż tenże dyr. Wassercug nie powiedział słowa nagany Szyllerowi za wystawienie „Dziejów grzechu“? Owszem pochwalił go, a zganił publiczność i Siedleckiego, że protestowali. Czemuż raduje się zawsze Winawerowi, Jewreinowowi? Bo nie zasłużyli na naganę. Postarali się zabawić publikę i zarobić.

Na innej stronicy tejże „Epoki“ podobna historja. Zarząd Związku Handlowców chrześćjan ogłosił w prasie list, że wobec stanowiska polskiej opinji publicznej w sprawie wynajmowania sali na odczyty Hodura i Wieniawy-Długoszewskiego, postanowił w przyszłości „nie wynajmować pomieszczeń związku na zebrania i odczyty, obrażające uczucia religijne i narodowe polskie“.

„Epoka“ przedrukowała ten list i oczywiście skarciła. Kto dał prawo Zarządowi Związku „wydawania opinji o tem, który prelegent ma rację ze stanowiska narodowego?“

Co to jest narodowe? Rozmaite są narody. To trzeba zlikwidować! Nie podoba się zmiana kościoła (Hodur), zmiana ustroju społecznego — to nie racja. „Nie wasze dieło“—mówili Rosjanie. Pilnuj szewcze kopyta. Stanowisko obywatelskie, polskie, katolickie— to dawne nałogi. Już my to wysanujemy! — powiada „Epoka“.

Na tem właśnie polega nowa epoka w życiu Polski.

NA GROBIE PISARZA POLSKIEGO

NA cmentarzu w Lublinie w nocy zniszczono grobowiec zasłużonego powieściopisarza polskiego Klemensa Junoszy Szaniawskiego. Kamienne popiersie (dłuta Pyrowicza) świętokradcy zrzucili z podstawy i rozbili.

W literaturze polskiej Szaniawski był jednym z najlepszych znawców ghetta i psychologji rasy żydowskiej. Zostawił szereg znakomitych powieści, które trzeba uważać za studja, dokonywane nad żydami w Polsce. Był to człowiek dobrotliwy i sprawiedliwy. Na uroczysty pogrzeb jego w Lublinie, mieście jego rodzinnem, w roku 1898 stawiły się delegacje rabinów. Nie mniej w sferach żydowskich pozostała po nim legenda antysemity. Antysemitą jest każdy, kto ośmieli się napisać prawdę o żydach.

Współcześnie z Szaniawskim pracował Jan Jeleński, który w swoim tygodniku „Rola“ pierwszy rozpoczął akcję odżydzania społeczeństwa polskiego. Trzeba przypomnieć, jak żydzi szarpali za życia jego dobre imię, w czem niestety zażydzona inteligencja polska gorliwie im pomagała. Dzisiaj pisarze polscy, mający odwagę służyć sprawie samodzielności polskiej nie zaznają spokoju ani za życia, ani po śmierci. A ci, którzy atakują nacjonalizm polski, jako antychrześcijański i nieetyczny, niech raczą odpowiedzieć, czy sanacja cmentarza lubelskiego jest zniewagą religji, czy narodu, czy w symbolu grobu nie zachodzi taka sama wspólność tych dwu idej, jak w życiu.

Straż nad grobami i nad życiem sprawować powinni społem wszyscy ci, którzy w świętości grobów

widzą świętość życia, reprezentującego pierwiastki wieczne.

O upadku ducha narodowego świadczy choćby to, że mało kto w prasie wiadomość o zniewadze grobu powtórzył i skomentował. Od śmierci ś. p. Szaniawskiego żydzi zrobili wielki postęp w podboju polskiej opinji publicznej. Komentować już niełatwo. Wiemy, co się dzieje z pisarzami, którzy pozwalają sobie na akcenty polskie nacjonalistyczne. Cóż mówić o walce z żydowstwem!

Wówczas, kiedy żydzi mogą pretendować do zrzeszenia wszystkich stronnictw (nazwisk „chrześcijańskich“) przeciwko nacjonalistom polskim, niebezpiecznie jest komentować czy zdarzenie takie jak w Lublinie, czy żydowskie wymyślanie w piśmie półurzędowem. W naszych czasach Szaniawski nie miałby zbiorowego wydania swych pism, ani popiersia na grobie. Czasy są pod tym względem cięższe, a sanacja moralna wciąż się sroży.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

W PRASIE, która powinna mieć informacje źródłowe, pojawiły się pogłoski o reorganizacji rządu (czwartej z kolei od czasu przewrotu majowego). Marszałek Piłsudski zamierza podobno zrzec się prezesury gabinetu i poświęcić swe siły wojsku. Objęcie stanowiska prezesa rady ministrów było—jak podają zbliżone do rządu pisma—rzekomo pomyślane z góry jako czasowe po dymisji p. Bartla, wywołanej opozycją w Sejmie. Istotnie, szef rządu, dopóki Sejm istnieje, musi być w stałym kontakcie z ciałami ustawodawczemi, co nie leży w usposobieniu obecnego premjera. Nie leży, zdaje się, również ponoszenie formalnej odpowiedzialności za poczynania i politykę rządu. Jest przeto rzeczą bardzo prawdopodobną, że ta odpowiedzialność spocznie na innych barkach. W codziennych, konkretnych posunięciach mało jest sposobności do utrwalenia legendy, którą marszałek Piłsudski tak wysoko ceni. Oczywiście, decyzje ostateczne i po zrzeczeniu się godności premjera zapadać będą nadal w Belwederze.

Puszczono nawet pogłoskę, że toczyły się już rozmowy z bawiącym na kuracji zagranicą generałem Sosnkowskim, który w maju znalazł się w Poznaniu w tak tragicznej sytuacji osobistej, o objęcie teki ministra spraw wojskowych—jemu bowiem tylko jakoby marszałek Piłsudski, który piastuje obok tej teki i urząd generalnego inspektora armji, mógłby powierzyć armję. W takim razie marszałek Piłsudski pozostawiłby sobie jedynie to ostatnie stanowisko ewentualnego Naczel-Wodza. Osoba generała Sosnkowskiego ma być również brana pod uwagę przy mianowaniu nowego premjera. Z tego można by wnioskować, iż łączy się z wysunięciem kandydatury gen. Sosnkowskiego jakiś plan polityczny.

Sądzić wszakże należy, że w chwili obecnej kandydatura nie jest aktualna i że raczej prof. Bartel obejmie po raz trzeci prezesurę Rady Ministrów. Przewidywanie to opiera się na zrzeczeniu się przez prof. Bartla kierownictwa ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego; dotychczasowy kierownik roztaczał w swych wynurzeniach daleko idące plany reorganizacji wychowania publicznego, plany, wymagające dłuższego przygotowania i opracowania, co kazało przypuszczać, że teka oświaty pozostanie w jego rękach. Stanowisko ministra—pomijając krótkotrwały a niefortunny epizod z prof. Sujkowskim — nie było od maja obsadzone. Szukano widocznie odpowiedniego kandydata. Obiegały pogłoski, że ta teka ma być przynętą dla sfer zachowawczych i katolickich. Tymczasem niespodziewanie ministrem został lekarz dr. Dobrucki, senator, z grupy najbliższych przyjaciół politycznych prof. Bartla, o którego zainteresowaniu tą dziedziną administracji państwowej nie było wiadomo.

Czy powyższa nominacja jest jaskółką zmian następnych w składzie rządu, przewidzieć trudno. Gdyby uważać za miarodajne życzenia organów „sanacji“, zanosiłoby się na dymisję ministrów konserwatystów, Meysztowicza i Niezabytowskiego. Ale doświadczenie poucza, że organy przyboczne często zupełnie nie wiedzą, co się święci. Raczej przypuszczać należy, że zasada „równowagi“, balansowania między lewicą i prawicą, programowa bezprogramowość przynajmniej czas pewien przetrwa. Rząd w sprawach gospodarczych stara się jak najmniej ujawniać wyraźne oblicze, aby nie zrazić do siebie popleczników na jednem i drugiem skrzydle. W metodzie lawirowania dla względów taktyki jest bardzo podobny do rządów dawniejszych, z epoki przedsanacyjnej. Nie jest wszakże wykluczone, że dojdzie do przekonania, iż organizujące się koła monarchistyczno-konserwatywne nie stanowią poważnej siły, a wówczas będzie dbał wyłącznie o popularność na lewicy.

Bowiem główną troską tego nieprzychylnego parlamentaryzmowi rządu zdają się być nadchodzące wybory. Świadczą o tem wciąż przeprowadzane zmiany w administracji państwowej, zakładanie licznych pism „sanacyjnych“ w ośrodkach prowincjonalnych. Wkrótce przyjdzie zapewne kolej na wypracowanie projektu zmiany ordynacji wyborczej. Jest to wprawdzie punkt bardzo drażliwy, bo o ile zmiany osobiste idą po myśli lewicy, o tyle dotychczasowa ordynacja była dla niej „tabu“. Jeżeli wszakże rząd hołubi myśl cichego porozumienia przy nadchodzących wyborach i współdziałania monarchistów różnych obrządków, stańczyków, radykalnej inteligencji, lewicy Narodowej Partji Robotniczej, P. P. S., „Wyzwolenia“ i Związku chłopskiego, to obowiązująca ordynacja takiej kombinacji stanie na przeszkodzie. Nie wystarczy w tych warunkach ani brak programu, który pozwoliłby w tej arce Noego skupić tak różnorodne żywioły, ożywiając je nadzieją egoistycznych korzyści, ani posiadanie w powyższych ugrupowaniach swoich ludzi. Ci bowiem nie zdołaliby wytłumaczyć masom wyborczym w ten sposób skombinowanych list wyborczych.

Narazie niezdecydowanie rządu przyczynia się przedewszystkiem do wewnętrznego rozkładu większości dotychczasowych stronnictw. Wprawdzie mogą się one do czasu wykręcać dogodną, dla naszego wyrobienia obywatelskiego tak charakterystyczną formułą—nie brania odpowiedzialności za działalność rządu. Ale wreszcie znajdą się wobec okoliczności, kiedy trzeba będzie niedwuznacznie ustalić swój stosunek do czynników kierowniczych. Obecność w tych ugrupowaniach mniej lub więcej jawnych zwolenników przewrotu majowego paraliżuje ich samodzielność. Ten stan rzeczy musi prędzej czy później doprowadzić do likwidacji dotychczasowych partyj i innego układu sił politycznych, pomimo zrozumiałego dążenia przywódców partyjnych do utrzymania się w roli kierowników na powierzchni życia politycznego.

B. W.

SPRAWY ZAGRANICZNE

OKRES ośmiu miesięcy, jaki dzieli nas od krwawych dni przewrotu majowego, w polityce zagranicznej zaznaczył się niepokojącem osłabieniem dotychczasowego stanowiska Polski, zwłaszcza jeżeli chodzi o zagadnienie najważniejsze, sprawę zabezpieczenia na wypadek wojny odwetowej ze strony Niemiec. Niedługi ten okres przyniósł nietylko triumfalne wejście Niemiec do Ligi Narodów, nietylko ostateczne niepowodzenie usiłowań Polski uzyskania stałego miejsca w Radzie Ligi, ale ponadto bardzo znamienny zwrot w polityce Francji wobec Niemiec, zapoczątkowany konferencją w Thoiry, ostatnio zaś także zbliżenie niemiecko-włoskie, uzewnętrznione podpisaniem traktatu arbitrażowego. Nie chodzi tu w tej chwili o rozważania, w jakim stopniu inicjatywa ze strony dyplomacji polskiej mogła była powyższemu stanowi rzeczy zapobiec, ani zastanawianie się, czy polityka Francji i Włoch wobec Niemiec regulowana jest mniejszą lub większą wiarą w siłę i jedność psychiczną naszej armji oraz trwałość naszego politycznego ustroju. Ale położenie, jakie się obecnie wytworzyło, jasno ocenić można choćby z faktu, że podczas ostatniego posiedzenia Rady Ligi, minister Zaleski, mimo swego miejsca „półstałego“, nie był zapraszany na narady w sprawie kontroli wojskowej Niemiec, chociaż brała w nich czynny udział mniejsza od Polski, tylko niestałem miejscem w Radzie rozporządzająca Belgja. A przecież Polska jest w sprawie kontrolowania zbrojeń niemieckich niewątpliwie państwem najbardziej zainteresowanem.

Jak w tych warunkach, wobec tego położenia ogólnego, kształtuje się polityka zagraniczna rządu marsz. Piłudskiego? Sformułował ją sternik polityki zagranicznej rządów pomajowych, min. Zaleski, na posiedzeniu komisji sejmowej dn. 4 b. m., a uczynił to w sposób, który w opinji publicznej wywołał zrozumiałe zaniepokojenie. Zaznaczył dążenie do ustalenia „dobrych“ stosunków z Niemcami (poprzednicy min. Zaleskiego mówili najwyżej o „poprawnych“ lub „normalnych sąsiedzkich“ stosunkach), następnie zaś wywodził, że „tendencje do zaostrzenia stosunków z nami“ nie są w Niemczech ogólne, choć wiadomo, iż postulat oddania Niemcom Pomorza wysuwają nietylko prawicowcy i lewicowcy, nietylko konserwatyści i socjaliści, ale nawet tak skrajny szermierz pacyfizmu, że czasu wojny zmuszony był opuścić Niemcy, głośny „idealista” prof. Fryderyk W. Förster. A ponadto słowom min. Zaleskiego towarzyszyły czyny: nieustanne ustępstwa na rzecz Niemców w tak ważnej sprawie likwidacji własności niemieckiej w b. zaborze pruskim.

Wrażenie, jakie mowa min. Zaleskiego wywarła w społeczeństwie, było tego rodzaju, że on sam zdecydował wystąpić w kilka dni później z nowem *exposè*, korzystając z okazji bankietu, wydanego przez organizowane właśnie „Towarzystwo Badania zagadnień międzynarodowych”. Tym razem zdobył się już na ton twardszy, bardziej stanowczy. Stwierdził, że żaden „Polak nie zawaha się ani na chwilę przed złożeniem najwyższej ofiary z krwi własnej i mienia“ dla obrony każdej piędzi ziemi pomorskiej czy śląskiej, że Polska gotowa jest „bronić tych terytorjów przed wszelkiemi zakusami, z jakiejkolwiek strony oneby pochodziły“. Jednocześnie jaknajkategoryczniej zastrzegł się przeciw „bezsensownym projektom“ zamiany polskiego Pomorza na Litwę i Kłajpedę. Oby te energiczne słowa stały się początkiem także polityki energicznej, czynnej, zdolnej odeprzeć ofensywę dyplomatyczną i propagandową, coraz zuchwalej podejmowaną przez Niemcy przeciw Polsce i jej obecnym granicom.

Nietylko we Francji, ale nawet daleko poza jej granicami rozliczne komentarze wywołuje postanowienie Watykanu, zamieszczające nn indeksie dziennik monarchistyczny *„Action Française“* i szereg dzieł najznakomitszego teoretyka monarchizmu francuskiego, wybitnego pisarza i myśliciela Karola Maurras'a. Niewątpliwie współczesna literatura francuska roi się od dzieł, ze stanowiska katolickiego bardziej godnych potępienia i bardziej rozkładowych, niż doktryna „niewierzącego katolika“ Maurras'a. To też decyzja Watykanu daje się wytłumaczyć przedewszystkiem, jako posunięcie taktyczne, oparte, być może, na trzeźwej najzupełniej ocenie, że grupa *„Action Française“*, doktrynerska i ciasna w swej wyłączności, nie ma warunków skupienia dokoła siebie tych sił, z których triumfem łączą się nadzieje religijnego i narodowego odrodzenia Francji współczesnej. Mimo wielkich wartości politycznych dzieł Maurras'a, mimo jego patrjotyzmu szlachetnego, bezinteresownego, głębokiego, niepowodzenie grupy *„Action Française“* w obecnej jej formie, raczej przyśpieszyć może, niż utrudnić, wzmocnienie się i ostateczne zjednoczenie sił nacjonalizmu francuskiego.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

NAJPRZYSTĘPNIEJSZY PODRĘCZNIK LITERATURY POLSKIEJ

NAZWISKA Ignacego Chrzanowskiego i Konstantego Wojciechowskiego niejednokrotnie chodziły z sobą w parze — i nic dziwnego; albowiem dwóch tych ludzi, choć rodem z dwu różnych końców Polski, łączyło tyle wspólnych cech charakteru, tyle wspólnych umiłowań i celów, że z konieczności prędzej czy później musieli zbliżyć się do siebie, a czasem i współdziałać. Obaj, nim zasiedli na katedrach uniwersyteckich, odbyli długoletnią praktykę nauczycielską w szkołach średnich i wnikając w duszę młodego, kształcącego się pokolenia, nauczyli się rozumieć jego potrzeby duchowe, dostrajać się do jego pojęć i stopniowo coraz to bardziej je rozwijać. Temu to obaj zawdzieczają ową jasność, żywość i przystępność wykładu, jaka cechuje wszystkie ich dzieła, w przeciwieństwie do dzieł ogółu naszych badaczy na polu literatury, którzy oschłość, poważną nudę i szpikowanie wykładu różnemi „terminami“ („ciężkie to termin!“—powiadał Zagłoba) uważają za niedłączny przymiot uczoności. Cóż dopiero powiedzieć o podręcznikach, które przecie mają na celu nauczenie młodzieży—i tylko wtedy cel ten osiągają, gdy są napisane ciekawie a przystępnie?

Otóż warto wiedzieć, że pierwszemi podręcznikami literatury polskiej, spełniającemi cel wspomniany, były—niemal jednocześnie wydane—„Dzieje literatury polskiej“ K. Wojciechowskiego (1906) i „Historja literatury niepodległej Polski“ I. Chrzanowskiego (1908). Druga z nich odrazu zdobyła sobie zasłużony rozgłos i doczekała się niemałej liczby wydań: jedno z nich wyszło nawet w głębi Rosji podczas wojny światowej; były też po wojnie wydania przerobione, dostosowane do nowych wymagań szkolnych, a opracowane przez autora właśnie do spółki z Wojciechowskim. Natomiast sam podręcznik Wojciechowskiego, ukryty w kilkutomowem wydawnictwie „Polska, obrazy i opisy“ (nakł. Macierzy Szkolnej), uległ dość rychłemu, przedwczesnemu zapomnieniu. Przypomniał go ogółowi polskiemu, pisząc pośmiertne wspomnienie o ś. p. Wojciechowskim, prof. Chrzanowski, z którego

też inicjatywy podręcznik ten doczekał się obecnie w dwadzieścia lat po pierwszem — powtórnego wydania*).

Wydanie nowe poprzedzają dwie przedmowy: jedna z nich, pióra Chrzanowskiego, pięknie opowiada o zasługach ś. p. Wojciechowskiego w dziedzinie nauki, pedagogji, oświaty i pracy społecznej, druga, imieniem komitetu wydawniczego, wyjaśnia kwestje techniczne. Dowiadujemy się, że „w porównaniu z pierwszem nie wykazuje wydanie drugie znsadniczych zmian... wydawcy nie zmienili charakteru książki, utrzymując ją w tonie dawnym, uzupełnienia czy zmiany stosując tylko tam, gdzie tego wymagały badania naukowe. Zasada ta wypłynęła nietylko z pietyzmu wydawców, przeważnie byłych uczniów Wojciechowskiego (Z. Aleksandrowicz, J. Zalewski, J. Balicki, Z. Szwejkowski, Z. Wojciechowski, S. Maykowski), ale i z poczucia, że praca ich zgasłego profesora dobrą była i po latach dwudziestu wartość swą w całej pełni zachowała.

Sam podręcznik w nowem opracowaniu dzieli się na dziewięć rozdziałów, obejmujących kolejne okresy naszej literatury, według panujących w niej prądów. Najpierw więc idzie okres średniowieczny, bardzo trafnie scharakteryzowany; unikając zbytecznego balastu, podano w nim tylko to, co było istotnie oryginalnym i ciekawym dorobkiem polskiej umysłowości, lub to, co było zarodkiem późniejszego rozkwitu naszej literatury. Niesłusznie jednak rozkwit ten—z wieku XVI—nazwał Wojciechowski „najświetniejszym rozkwitem naszego piśmiennistwa" (wszak świetniej jeszcze rozkwitła nasza literatura w okresach romantyzmu i Młodej Polski); zdaje się, jest to *lapsus calami* i mowa tylko o literaturze staropolskiej. Definicja humanizmu wypadła trochę nieściśle; wprawdzie bowiem prąd ów skojarzył się istotnie z obudzeniem się świadomości narodów, ale nie był bynajmniej jej wynikiem, ani też z nią identyczny; niedokładnością też jest całkowite utożsamianie humanizmu z renesansem: pierwsza bowiem nazwa oznacza istotną treść, druga zaś tylko zewnętrzny kształt (styl) owego przełomu, jaki się dokonał na przełomie wieków średnich i nowożytnych. Pozatem jednak czasy zygmuntowskie przedstawione są wprost świetnie, zwłaszcza gdy chodzi o charakterystykę Reja, Orzechowskiego i Kochanowskiego; twórczość Skargi ujęta zbyt ogólnikowo. Krótko omówiono dobę baroku, najwięcej miejsca (więcej niż Potocki) otrzymała twórczość Kochowskiego. Dobę saską reprezentuje (i słusznie) niemal tylko Stanisław Konarski. Dobę kasycyzmu — ulubiony zakres swych badań — omówił Wojciechowski szczegółowiej. Z prawdziwym humorem, jak na taki temat przystało, opowiedział o twórczości Krasickiego; Trembeckiego przedstawił nieco jednostronnie, cytując tylko utwory, świadczące o nikczemnym charakterze tego dworaka — jedyny to przykład tak surowego sądu w tej książce, bo naogół aż podziwiać należy wyrozumiałość, (chciałoby się powiedzieć: takt) z jaką Wojciechowski stale podkreśla przedewszystkiem to, co u danego pisarza jest najcenniejsze i najgodniejsze naśladowania. Ta łagodność sądu, płynąca z uwzględnienia charakteru pisarza i warunków, w jakich żył, każe autorowi „Dziejów" np. rehabilitować Karpińskiego, na którego ciskali tyle gromów niektórzy historycy literatury. Obszernie potraktował Wojciechowski twórczość Niemcewicza, której badaniu parę prac swoich poświęcił. W okresie romantycznym najwięcej miejsca z wieku i urzędu oddał Mickiewiczowi; najpiękniejsze są te ustępy, gdzie z werwą charakteryzuje się opisy przyrody w „Panu Tadeuszu". *Pendant* do nich stanowi zajmująca analiza „Marji" Malczewskiego; niesłusznie jednak autora „Marji" nazwano „najmłodszym z grona" poetów ukraińskich—był on przecie o dziewięć lat starszy od Zaleskiego, a osiem od Goszczyńskiego. Twórczość Słowackiego przedstawiono dokładnie tylko do „Lilli Wenedy" gdyż książka Wojciechowskiego została napisana na wiele lat przed ukazaniem się dzieł, oświetlających mistyczną twórczość poety *); zwraca uwagę zwłaszcza piękna ocena „Ojca zadżumionych" — tego genjalnego dzieła, które samo jedno zdołałoby odeprzeć zarzut jednego z dzisiejszych hałaśliwych spryciarzy literackich, jakoby Słowacki „nie posiadał zmysłu kolorystyki"... Ale czyż „można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma" nawet po przeczytaniu tych scen w „Balladynie", które malują przyrodę czy też świat fantastyczny, a które z taką trafnością sądu i takim smakiem ocenia Wojciechowski, co przed nim zresztą czyniło tylu zarówno twórców jak i badaczy (dość wspomnieć takiego nieprzyjaciela Słowackiego, jakim był Tarnowski)? Dłuższa ocena (wraz z obfitością przytoczeń) dostała się też „Nieboskiej" Krasińskiego i „Zemście" Fredry. Zwięźle, ale doskonale (znów dziedzina badań Wojciechowskiego!) ujęta została twórczość powieściopisarzy: Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, a zwłaszcza Kraszewskiego. Zato szerzej opowiedziano o twórczości Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza, których świetnym znawcą był Wojciechowski, autor najlepszej dotychczas książki o Sienkiewiczu: cenne są też ustępy o Konopnickiej i Asnyku. Twórczość Świętochowskiego zamknięto dramatem „Duchy" —a wszak ten Nestor naszego piśmiennictwa i później nie wypuszczał pióra z ręki, o czem należało choć wspomnieć; piszę to oczywiście pod adresem wydawców książki Wojciechowskiego. Pod ich adresem skierowałbym też parę drobnych zarzutów, dotyczących okresu Młodej Polski — albowiem rozdział ten jest niemal w całości na nowo opracowany, Tak np. przesadą wydają mi się słowa, jakoby Mirjam był „najlepszym z tłumaczy, jakich mieliśmy", przekłady Przesmyckiego często bywają istotnie niepospolicie piękne, ale nie brak i słabych (np. „Hanrahan Rudy" W. B. Yeatsa); a w każdym razie żaden z nich nie stoi na tej wyżynie, co kasprowiczowski przekład „Dzwonu zatopionego" Hauptmanna (przekład, godzi się powiedzieć, piękniejszy od oryginału), co przekłady Porębowicza, a nawet niektóre Boya. A propos Kasprowicza, twórczość jego (podobnie jak i Reymonta) omówiono zbyt pobieżnie, choć, trzeba przyznać, uchwycono trafnie linję kierunkową jej rozwoju. Historja piśmiennictwa (raczej chyba: dzieje krytyki literackiej, bo o tem tam mowa), tak samo i ustępy poświęcone historjografji, wypadły najsłabiej — napisane są sucho i szablonowo.

Rozdział ostatni p. t. „Doba ostatnia" niezupełnie może nas zadowolić; pominięto tu wiele nazwisk wybitnych literatów (Jerzego Bandrowskiego, J. A. Gałuszki, F. Przysieckiego, Wiktora, Bartkiewicza i i.), którzy w naszą literaturę wnieśli nowe tematy i nowe sposoby twórcze. Niedokładne jest określenie grupy futurystów: do grupy tej, ściśle mówiąc, należała tylko krakowska „Katarynka", której epigonami są obecnie również Krakowianie, Peiper i Przyboś. Co do „urbanizmu", nie jest on nabytkiem dopiero czasów powojennych, gdyż datuje się on już od Miłaszewskiego. W zakończeniu słuszna uwaga, że same jeszcze sztuczne nawoływania „usiłujące przyśpieszyć narodziny nowej, wielkiej poezji na nic się nie zdadzą. Krzykiem nie tworzy się genjuszów, a obecny okres literatury naszej jest, bądź co bądź, wciąż

*) Konstanty Wojciechowski: Dzieje literatury polskiej. Wydanie drugie, przygotowane pod redakcją dr. J. Balickiego, przejrzane i wstępem poprzedzone przez Ign. Chrzanowskiego. Z 124 ilustracjami. Książnica — Atlas. Lwów — Warszawa 1926.

*) Wydawcy powinni byli usunąć tytuł dramatu „Niepoprawni", wymyślony przez Małeckiego, a obecnie wyrugowany przez nowszych badaczy (właściwy tytuł: „Fantazy").

jeszcze tylko... „schyłkiem". Potężnemu zjawisku wyzwolenia i upaństwowienia nie nadążyli nasi pisarze"...

Mógłbym wyliczyć wiele zalet podręcznika Wojciechowskiego, żeby niemi zrównoważyć — ba, doszczętnie zatrzeć—wytknięte tu i owdzie usterki. Wolę jednak powiedzieć, że wsystkie zalety wyszczególnił w swej przedmowie prof. Chrzanowski, któremu za myśl ponownego wydania tej pięknej książki, zrozumiałej jednako dla najwykształceńszych jak i dla prostaczków, należy się szczera wdzięczność.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZAPOMNIANE AUTOGRAFY WYSPIAŃSKIEGO

Młody, bardzo sumienny badacz historji literatury, Jan Dürr, wydał w osobnej broszurze opis niezwykle interesujących i cennych, częściowo zupełnie nieznanych autografów Stanisława Wyspiańskiego, przechowywanych w Muzeum Narodowem w Krakowie[1]). Autografy te, choć nie było trudno do nich dotrzeć, nie zostały wzięte pod uwagę przez dr. Adama Chmiela i prof. Tadeusza Sinkę, wydawców „Pierwszego wydania zbiorowego dzieł Stanisława Wyspiańskiego"[2]). Nic też dziwnego, że jeden tylko krótki utwór młodzieńczy poety, „Batory pod Pskowem" w owem wydaniu poprostu roi się od błędów, które p. Dürr wylicza w swej książce szczegółowo, na podstawie porównania z rękopisem. Co więcej, jak stwierdza p. Dürr, wydawcy niejednokrotnie nie wahali się... poprawiać poety, „zmieniać samowolnie wyrazów, lub ich form fleksyjnych, opuszczać partykuł i przestawiać wierszy i to bez należytego oznaczenia i usprawiedliwienia tych wszystkich zmian w przypisach krytycznych". Gdy chodzi o genjusza, jakim był Wyspiański, taka bezceremonjalność jest zjawiskiem szczególnie gorszącem.

W tych warunkach ścisła, metodyczna praca Jana Dürra tem większego nabiera znaczenia. Jest nietylko pięknym hołdem, złożonym pamięci poety, i nietylko ułatwieniem pracy krytycznej przyszłym wydawcom jego dzieł, ale jest jednocześnie wystąpieniem do walki w obronie rzetelności pracy naukowej, walki odważnej, nie liczącej się najzupełniej z zarozumiałą pewnością siebie wpływowych, „cenionych" powag. Niechaj stanie się początkiem samodzielnej, bezkompromisowej w dążeniu do prawdy, owocnej działalności zdolnego i rzetelnego badacza.

R.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Jako trzeci tom Bibljoteki Medyckiej ukazał się zbiorek poezji Berty Obertyńskiej „Pszczoły w słoneczniku". Poprzednio w tejże bibljotece autorka wydała swoją stylową opowieść o gitarze. Dzieło to pasowało ją na dobrą artystkę prozy. W zbiorku obecnym wystąpiła jako poetka.

Myśli, które wyroiła na ogródek swego świata, toną w kwiatach wytwornego artyzmu. Panuje tu kwiat. Smakuje tu miodem, pachnie konwalją, pociąga oczy ciepłą barwą, a podzwania, jakby pszczoły trącały harfę promieni słonecznych, albo jakby to powietrze było rezonatorem miłującego dobrego serca kobiecego.

Czary ogródka wdzięk białą ręka przenosi na batik. A ta batikowa altanka duszy poetki staje się dla czytelnika główną atrakcją. Filigranowe ujęcie życia często z humorem, nieraz ze smutkiem obracanym w żart, zawsze szczęśliwe ze swej zręczności budzi w czytelniku wysoce artystyczną satysfakcję. Są tam bardzo ładne dzieła sztuki, jak Przydrożny krzyż, Droga, parę wierszy z motywem tęsknoty macierzyńskiej. Bardzo zgrabne są wizerunki zwierząt domowych, bo i te są w ogródku.

Forma zupełnie opanowana i misterna, choć to podobno niemodnie, bo jak poetka utrzymuje:

Wiersz dawniej, bywało, swój żupan papuzi
Zapinał sumiennie na ostatni guzik.
Dziś tak się śpieszy okropnie,
że nawet pyjamy nie dopnie...

*

W odpowiedzi K. H. Roztworowskiemu na wiersz p. t. „Cyt!", ogłoszony w nr. 41 „Myśli Narodowej" z r. ub. Antoni Waśkowski ogłosił w „Głosie Narodu" bardzo ładny wiersz „Sursum corda"! (nr. 2 z r. b.). Zadowolony będzie z niego przedewszystkiem Rostworowski, pomimo że wiersz ma pozory polemiki z nim. Autor protestuje przeciwko pesymizmowi. Utrzymuje, że „Zmartwychwstania święto jeszcze trwa: Chrystus narodów się budzi.

Szczęśliwy, kto dziś śladem apostołów
Naród swój bliski zwątpieniom — pociesza
I wiarą krzepi go u Pańskich stołów,
A kiedy kruszy sumienie — rozgrzewa!
A kiedy grzesznych zbawia — życiu służy!
A kiedy żywot niesie — sławę wróży!
Nie wierzę, aby inne słońce było,
Jak to, co pali się w sercach poetów..."

I kończy apostrofą:

„Oto przed nami Polska wolna świeci:
Młodość chorągwie chwyciła w ramiona,
Młodość — kwiat żywy na trumnach stuleci!
Młodość — zwycięstwo przez czyn apostolski:
W wielkiej miłości Obóz wielkiej Polski".

*

W. Filichowski, autor przygodnych fejletonów w „Gazecie Warszawskiej" i świeżo wydanego tomu „Bibljoteki dzieł wyborowych" p.t. „Przez kraj wód, duchów i zwierząt" zasługuje na baczniejszą uwagę publiczności i krytyki. Nie tyle przez to, co zrobił, ile przez to, co zrobić może. Jest to bowiem talent duży a jarzący się swoistem światłem, czysto fejletonowy w stylu francuskim. Z zadziwiającą zręcznością skacze on po przedmiotach nieraz bardzo oddalonych, wiąże w żywe obrazy rzeczy i pojęcia nieposiadające naturalnej łączności, wykonywa nadzwyczajne sztuki akrobatyczne myśli i słowa. Wszystkie te rzuty i skojarzenia mają oryginalny wdzięk i lekkość. Nie uwydatniają się one wszakże należycie w rozwichrzonych opowiadaniach, które często ani jednym punktem nie stykają się już nie tylko z rzeczywistością, ale nawet z prawdopodobieństwem. Cały szereg obrazków wspomnianego „romansu podróżniczego" jest tworem bardzo rozhuśtanej wesołej fantazji, która w pierwszym („Posag Ireny Tobczewskiej") niezbyt jeszcze odrywa się od możliwej rzeczywistości, ale w następnych już ją zupełnie traci z widoku. O ile autor jest niezmiernie starannym w opracowaniu swych pomysłów, o tyle niewybrednym w ich wyborze. Gdy w obu kierunkach okaże równą dbałość, stworzy rzeczy piękne".

*

Pobyt w krajach odległych, w których wszystko jest odmienne od naszego, daje autorowi gotowy i bogaty materjał do ciekawych opowieści, w których mały talent staje się dużym a duży nie potrzebuje zbyt wysilać się na kunsztowne opracowania oryginalnych wątków. Za wiele na to liczył Michał Siedlecki w swych „Opowieściach malajskich" (Warszawa 1927), w których tak szkicowo kreskował i punktował ich osnowę, że dla czytelnika europejskiego, pomimo dodanych objaśnień, są częściowo lub nawet całkowicie niezrozumiałe. (Ola) Uwaga ta jednak nie dotyczy większości obrazków b. jasnych i barwnych, między któremi wyróżniają się: „Uśmiech Loro Jonggran", „Waringin" i inne. Niech autor weźmie sobie za przykład p. Sieroszewskiego w wyzyskiwaniu najdrobniejszego spostrzeżenia przywiezionego z Azji. On skorzysta w sławie, a my w przyjemności czytania jego opowiadań.

*

W Poznaniu zawiązał się komitet wielkopolski uczczenia Jana Kasprowicza pod przewodnictwem rektora uniwersytetu Grochmalickiego. Komitet w odezwie zapowiedział akcję doraźną w postaci „tygodnia Kasprowiczowskiego". W ten sposób najbliższa poecie dzielnica kraju wesprze usiłowania Komitetu Zakopiańskiego w celu wzniesienia grobowca i zakupienia domu na schronisko dla literatów.

Przypominamy, że lista składek na ten cel jest złożona w redakcji „Myśli Narodowej" i że każda ofiara z wdzięcznością jest przez nas przyjmowana.

*

W warszawskiem Tow. literatów i dziennikarzy staraniem klubu P. E. N. pani Dora Gabe-Penew bułgarka, tłumaczka dzieł Kasprowicza, wygłosiła odczyt o „Moim Swiecie". Wykład bardzo ładnie obmyślany i wygłoszony, tembardziej był interesujący, że prelegentka znała osobiście Kasprowicza i mogła związać to ostatnie jego dzieło z życiem osobistem poety.

U SŁOWIAN

Ukazał się ostatnio w Berlinie XVIII tom cennego wydawnictwa zbiorowego, dotyczącego rewolucji rosyjskiej *„Archiw russkoj rewolucii"*. Zawiera on wspomnienia z 1915 r. A. N. Ja-

---

[1]) Jan Dürr „Zapomniane autografy Wyspiańskiego w Muzeum Narodowem w Krakowie", Kraków 1926, nakładem Towarzystwa Miłośników Książki.

[2]) Nakładem „Bibljoteki Polskiej", dotychczas wydano trzy tomy.

chontowa, b. szefa kancelarji ros. rady ministrów, wrażenia z podróży w czasie walk w południ. Rosji E. N. Trubeckiego, artykuł o zajściach w Kubaniu w r. 1919 K. N. Sokołowa i jeszcze ciekawe wspomnienia historyczno-polityczne pióra M. Szczerbakowa, M. Kritskiego i K. Serežnikowa.

*

Polska literatura słowianoznawcza wzbogaca się stopniowo. Niedawno znów wyszła polska monografja o prezydencie Czechosłowacji p. t. „T. G. Masaryk. Życie i dzieło", pióra Arnolda J. Kwietniowskiego, z przedmową Zdz. Dębickiego (Nakład Teofila Firuła we Frysztacie). Książka ta, na swych 200 stronach dużej 16-ki kreśli obraz życia i prac T. G. Masaryka w następujących rozdziałach: Młodość i studja — Masaryk w Pradze. — Pierwszy okres działalności politycznej.—Program narodowy Masaryka.—Praca narodowa i drugi okres działalności politycznej.—Filozofja Masaryka (rozdział pióra J. Badury).—Działalność Masaryka podczas wojny światowej. — Po wojnie (działalność literacka). Przedstawienie jest jasne i wyczerpujące, na 40-tu stronach dodane wyjątki z różnych dzieł Masaryka. Szkoda tylko, że praca Kwietniowskiego pozostawia dużo do życzenia pod względem stylu i języka, co zaznaczył zrasztą i Dębicki w przedmowie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Piotr Davaud wydał ostatnio cenną pracę p.t. „*Ce qu'il faut connaître de l' histoire d' Angleterre*". Niełatwe miał zadanie autor, który treść ogromną zmuszony był zamknąć na 160 stronicach przeprowadzić czytelników przez labirynt dziejów politycznych, ukazując jednocześnie najważniejsze przejawy kultury umysłowej, rozwój stosunków parlamentarnych i splot problemów społecznej i ekonomicznej natury. Wywiązał się z tego dając całość przeczystą i łatwą do czytania.

Rozpoczął swą pracę od czasów najdawniejszych do najazdu Rzymian. Ukazał nam fazy kolejnych uwarstwień dalszych inwazyj, z których wyłoniło się dzisiejsze państwo brytyjskie z niebezpiecznem wewnątrz zarzewiem przez wieki tłumionej, a jednak nigdy nie wygasłej walki z Irlandją.

Odmalował potem całą moc ekspansji nazewnątrz: zdobywanie olbrzymich kolonij sposoby łączania z wyspą macierzystą, odpadnięcie niektórych, uniezależnienie bardzo wielu na podstawie bardzo szerokiej autonomji.

Najpobieżniej traktuje autor dzieje umysłowej kultury nie przez zaniedbanie, ale poprostu dla braku miejsca. Bardzo wyczerpująco kreśli nam natomiast historję przeobrażeń społecznych i ekonomicznych, które pomimo upodobania społeczeństwa do dróg racjonalnej ewolucji, kryją w sobie w dniu dzisiejszym problemy niebezpieczne dla przyszłości.

W całej książce widnieje ten potężny, konkretywny rozmach, jakim się Anglja zawsze odznaczała, ale widnieją też liczne niebezpieczeństwa, które rozmachowi temu mogą się przeciwstawić: na wschodzie groza bolszewizmu, niepewna sytuacja w Indjach, wzrastająca rywalizacja z Japonją; wewnątrz zaś kraju macierzystego bezrobocia, strajki, szereg poważnych powikłań ekonomicznej natury — oto niebezpieczeństwo poważne i mogące lada chwila wybuchnąć, pociągając za sobą skutki wprost nieobliczalne

*

Henryk Bordeaux, członek Akademji Francuskiej, dzięki ułatwieniom i pomocy udzielonej mu przez jenerała Gouraud, zwiedził dokładnie tajemniczą ojczyznę Druzów, zapoznając się przytem z ich pochodzeniem, organizacją feodalną i wogóle ich życiem. Na podstawie tych studjów napisał on „*Dans la montagne des Druses*". W małym tym tomie przedstawiony jest jeden z wielkich problematów, dotyczących roli, jaką Francja może odegrać na Wschodzie.

*

W Zbiolze „*Le Roseau d'Or*" wychodzi książka p. Charles Silvestre p. t. „*Dans la lumière du cloître*". Autor opisuje swój pobyt w Liguge, gdzie znajduje się jeden z najstarszych klasztorów benedyktynów i z wielką przenikliwością kreśli obecne życie mnichów i nastrój współczesnego klasztoru.

*

Snobizm, będący tak charakterystycznym objawem naszej epoki, jego tyranja i potęga, nie mogły ujść bystrej obserwacji pisarza tej miary, co p. Marcel Boulenger. Ostatnią książkę poświęca on też „*Eloge du snobisme*" (Hachette). Jest to studjum wykwintne i subtelne, w którem autor z ironją i dowcipem wykazuje, że „snoby" starając się często być mecenasami sztuki, a nawet nauki, na swój sposób przyczyniają się nieraz do utrzymania kultury.

*

Autorem „*Les Amants du rempart*" (Malfère edit.) jest p. Paul Vimeren. Powieść to współczesna, której akcja rozgrywa się w pięknym i malowniczym porcie St. Malo, miejscu urodzenia Chateubriand'a. Autor odmalowuje w niej cały szereg obrazów i przesuwa przed oczami czytelnika subtelnie skreślone sylwetki swych bohaterów.

*

„Odjechać! Jakże upajające jest to słowo: zdawałoby się, że otwiera ono człowiekowi szerokie na świat cały wrota". Oto zdanie wyjęte z ostatniej książki Rolanda Dorgeles, a p. t. „*Partir*" (Albin Michel). W książce tej odnajdujemy zalety pisarskie autora „*Croix de Bois*" jego entuzjazm i ciekawość życia. „*Partir*" jest to historja ostatniej podróży Dorgeles'a z Marsylji do Saigonu ciekawej może nie tyle ze względu na samą fabułę, co przedewszystkiem na jej specjalną atmosferę. W przeciągu kilku dni na statku zawiązują się znajomości, sympatje, powstają intrygi, antagonizmy. Przesuwają się sylwetki tragiczne, jak improwizowanego śpiewaka Jacques Largy, zakochanego w primadonnie trupy Florence. Obok nich żyje przedziwna rodzina Nicolaï, międzynarodowy oszust Prater oraz nadzwyczajny typ, jakim jest doktór statku. Z nimi to autor „*Route Mandarine*" zatrzyma się w Port Saïd, Colombo, Penang, Singapor, rozkoszując się barwnością obrazów i egzotycznością swych współtowarzyszy pod róży.

*

Przed paru laty Chesterton oświetlił po swojemu historję swej ojczyzny w nader interesującej *Short History of England*; analogicznego przedsięwzięcia dokonał obecnie H. Belloc, wydając pracę popularną p. t. „*Mrs. Markham's History of England*"

*

Niezmordowany w wysiłku pisarskim, skreślił Wells w roku zeszłym dwa pierwsze tomy nowej powieści, trylogji, zatytułowanej „Świat Williama Clissolda", w której raz jeszcze poddaje krytyce społeczeństwo dzisiejsze, panujący w niem chaos wierzeń, pojęć i przesądów, dziedzictwo różnych epok historycznych, przez swoje nieskoordynowanie dotkliwie na współczesności ciążące. Jako djagnosta kryzysu cywilizacji, Wells powiedzieć potrafi wiele zajmujacego, lecz jako lekarz, pragnący uzdrowić cywilizację europejską przez zasypanie jej źródeł, przez radykalne zerwanie z tradycją chrześcijańską i rzymską, daje rady dla pacjenta wprost zabójcze.

*

Inny wybitny beletrysta angielski, A. Bennett, akcję powieści swych lokował dotąd przeważnie w okręgu przemysłowym t. zw. pięciu miast. z którego sam pochodzi, lecz teraz coraz częściej osadza ją w Londynie. W stolicy rozgrywa się także akcja ostatniej jego powieści „*Lord Raingo*"; w bohaterze jej wtajemniczeni dopatrują się postaci obecnego członka gabinetu, wicekróla Indyj, lorda Birkenhead.

*

Ten ostatni, prawnik z wykształcenia i zawodu, wśród zajęć urzędowych znalazł czas na napisanie zajmującej pracy o „Czternastu sędziach angielskich" i „Słynnych w historji procesach", wydanej w roku zeszłym.

Sinclair Lewis, autor rozgłośnej powieści „*Babbitt*", malarz miejskiego życia i obyczaju amerykańskiego, wydał ostatnio powieść sensacyjną „*Mantrap*", rzecz, zdaniem krytyków anglosaskich, słabszą znacznie od poprzednich utworów.

*

P. Jessie Conrad, żona zmarłego powieściopisarza, opisała życie domowe męża w książeczce p. t. „*Conrad as I Knew Him*" (Conrad, jakiego znałam).

*

Oprócz omówionego w ostatnim zeszycie studjum J. B. Priestleya o Jerzym Meredithie, w tejże samej serji. „*English Men of Letters*" ukazały się w roku zeszłym prace: Harolda Nicolsona o Swinburnie, J. Freemana o Hermanie Melville'u i O. Burdetta o Williamie Blake'u.

*

W Beyreuth zmarł wybitny pisarz i myśliciel, jeden z najznakomitszych teoretyków nacjonalizmu niemieckiego, Houston Stewart Chamberlain. Wprawdzie jego teorje o szczególnych wartościach rasy aryjskiej, najczyściej jakoby przechowanej w dzisiejszym narodzie niemieckim, nie zdołały ostać się wobec zarzutów krytyki naukowej, poszczególne jego studja, jak „*Kant*", „*Rrichard Wagner*" lub „*Die Gumdlagen des XIX Jahrhunderts*" zawierają wiele cennych pomysłów i wielki wpływ wywarły na współczesną umysłowość niemiecką.

Bardzo wartościowe są prace Chamberlaina z dziedziny żydoznawstwa, przedewszystkiem obszerne studjum pt. „Żydzi, ich pochodzenie i przyczyny ich wpływu w Eeuropie".

*

W Montreux zmarł w 55 roku życia znakomity poeta niemiecki Rainer Maria Rilke. „Myśl Narodowa" zamieściła niedawno (w nr. 29 z 15.VII.1926) obszerną charakterystykę twórczości Rilkego, skreśloną przez Witolda Hulewicza, oraz przez tegoż autora dokonany przekład pięknego wiersza Rilkego pt. „Ślepa"

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWA ST. WITKIEWICZA

ODLEGŁE to już lata, kiedy Stanisław Witkiewicz (1861 —† 1915) swą „Sztuką i krytyką“ dokonywał rewolucji w światku artystycznym Warszawy, ośmieszał uroczystych ignorantów, pendzlem i piórem torował drogę nowej, świetnej generacji polskich malarzy. Okres dawno miniony, zamknięty. Dobrze się stało, że przypomniała go zbiorowa wystawa dzieł malarskich i rysunkowych artysty, starannie, z widocznym pietyzmem zorganizowana przez warszawskie Towarzystwo Zachęty.

Witkiewicz był dziecięciem epoki powszechnego upadku smaku. Walczył z nią, buntował się przeciw niej, nieraz jej ulegał (dowodem tego choćby „zegary ścienne w stylu zakopiańskim“, których fotografje znalazły się na wystawie obok licznych, bardzo nierównych pod względem wartości, rysunków i drzeworytów). Dzieło literackie Witkiewicza, chociaż mnóstwo w niem sądów i opinij nie zdołało wytrzymać próby czasu, trwalsze jest i o wiele donioślejszy wpływ wywarło, niż jego dorobek jako malarza, bo talent pisarski miał olbrzymi. Ale dosyć posiadał daru wrodzonego i umiejętności malarskiej, aby i w tej dziedzinie zaznaczyć cechy swej bujnej, silnej indywidualności, które budzą podziw dla Witkiewicza — pisarza. W jego rysunkach i obrazach przejawia się ten sam niepodległy, nie schlebiający nikomu duch artysty, ta sama energja, zdecydowanie, skłonność do przejaskrawiania kontrastów (w tym wypadku wyrażająca się przedewszystkiem w efektach światłocienia), ten sam wreszcie brak sentymentalizmu, poszukiwanie i uzewnętrznianie w swej sztuce silnych, męskich wzruszeń. Dzieła takie, jak „Wiatr halny“, „Kozice w Tatrach“ lub ów „Pogrzeb“ w blaskach słonecznych na tle zimowego pejzażu, raz na zawsze zapewniają Witkiewiczowi miejsce w dziejach malarstwa polskiego.

Wystawa zbiorowa prac Zdzisława Jasińskiego ukazuje malarza o talencie miernym, łatwo ulegającego wpływom, a przytem pozbawionego smaku, jak wskazuje chociażby fatalna „Śpiąca syrena“ lub „Muszla“. Najlepszy jest może szczery, bezpretensjonalny obrazek: „Na tarasie“.

Większą ilość prac wystawiła Janina Bobińska-Paszkowska, artystka utalentowana. P. Bobińska-Paszkowska maluje modną dziś manjerą prymitywu, a że ma wybitny zmysł dekoracyjny, tworzy dzieła pełne wdzięku, jak „Nowomodne kolczyki”, „Bobo” lub „Legenda o Wandzie”. Szukając raczej natchnienia w sztuce dawnej, niż własnego spojrzenia na życie, uległa artystka czarowi szkoły staroniemieckiej. Jeden z jej obrazów aż do szczegółów przypomina nabyty niedawno przez wiedeńskie *Kunsthistorisches Museum* „Portret młodej Wenecjanki” Dürera.

Na „wystawie bieżącej” (dla odmiany nazwanej „wystawą ogólną”) od powszechnej szarzyzny odbijają trzy obrazy Sichulskiego, zwłaszcza dwa świetne, pełne świeżości, temperą malowane pejzaże. Pozatem szereg prac małej wartości: ani wątpliwy temperament Wałacha, ani ohydna secesja Mańkowskiego, ani dzieła Chorembalskich, Iwanowskich, Czepitów, nie mogą dać właściwego pojęcia nawet o średnim, przeciętnym poziomie naszej dzisiejszej twórczości. K. L.

*

Całe kulturalne Wilno jest przejęte sprawą konkursu na pomnik Mickiewicza. Sąd konkursowy, do którego należeli pomiędzy innymi artyści-plastycy: Ruszczyc, Czajkowski, Kunzek, dalej Artur Górski i in. przyznał jednogłośnie pierwszą nagrodę projektowi Szukalskiego, drugą — Jachimowiczowi (podobizny obydwóch projektów ogłosiły niemal wszystkie polskie ilustracje), wreszcie trzecią — Lubelskiemu. Wynik konkursu wywołał jednak w prasie wileńskiej gorącą polemikę, w której zabierało dotąd głos około dwudziestu osób, mniej lub więcej powołanych. Do najpoważniejszych wypowiedzeń zaliczyć trzeba głos p. Matusiaka (p r o) i zwłaszcza p. Stanisława Woźnickiego, który ostro, w sposób fachowy zaatakował wyrok sądu konkursowego, mianowicie przyznanie pierwszej nagrody projektowi Szukalskiego, niepozbawionemu wartości rzeźbiarskich oraz literackich, lecz zupełnie nie nadającemu się na pomnik. Zdaje się też, iż nie może być mowy o wystawieniu pomnika Mickiewicza wedle tego projektu. Niebawem wystawa najcelniejszych projektów objedzie najważniejsze miasta polskie.

*

We Lwowie rozstrzygnięto konkurs na projekt pomnika Słowackiego, który ma stanąć na Wałach przed teatrem. Z 24 prac uwzględniono tylko pięć. Pierwszą nagrodę przyznano projektowi p. Jana Szczepkowskiego, dyrektora miejskiej szkoły zdobniczej w Warszawie. Drugą nagrodę otrzymał projekt pp. Józefa Starzyńskiego i Józefa Różyckiego ze Lwowa. Trzecią nagrodą odznaczono projekt p. Jana Golnickiego z Warszawy.

*

Zanotować należy z uznaniem ruchliwość Lwowskiego Tow. sztuk pięknych, które zorganizowało w Stanisławowie dobrą wystawę malarstwa i rzeźby, przeważnie z dzieł artystów Małopolski Wschodniej (Batowski, Trusz, Rybkowski, Olpiński, Markowski, Erb, Nowakowski, Gajewski, Lanżanka, Albinowski i inni).

*

P. Gina Pieńkowska wystawiła w Salonie Garlińskiego zbiór niewielkich rozmiarów akwarel. Obrazki te, przedstawiające mile, z prawdziwem poczuciem dekoracyjności malowane kwiaty, warte są obejrzenia i — nabycia.

*

Nakładem firmy wydawniczej M. Arcta w Warszawie ukazało się teraz dzieło Eligjusza Niewiadomskiego „Malarstwo polskie XIX i XX wieku“. Autor napisał przedmowę 4 stycznia 1923 r. Dzieło składa się z dwu części: 1) Preludja. 1760 — 1860, 2) Złoty wiek malarstwa polskiego, 1860 — 1920, Część druga ma rozdziały: Romantyzm, Malarstwo historyczne, Ruch naturalistyczny (realiści, plener i impresjonizm, krajobraz), oraz styl i fantazja. Mnóstwo reprodukcyj czyni z tego pięknego dzieła album sztuki polskiej. Całość obejmuje 346 stron dużej 8-ki. Wydanie ozdobne i bardzo staranne. Obszerniejszą wiadomość damy po przestudjowaniu.

*

Do spopularyzowania wiedzy o sztuce polskiej przyczynia się korzystnie wydawdnictwo Gebethnera i Wolffa w serji „Monografij artystycznych“ pod redakcją M. Tretera. Wyszło już 10 tomików, które zaczynają: Matejko, Malczewski, Wittig, Skoczylas, portret kobiecy XVIII w. Obecnie wyszło nowych pięć tomów: Płoński, Orłowski, Stanisławski, Krzyżanowski, Karykatura polska. Gruntowne wykłady znawców na początku, staranne reprodukcje (po 32 w każdym tomie) nadają publikacji trwałą wartość.

ZMARLI

CIĘŻKA strata dla nauki polskiej — we Lwowie zmarł w 41 roku życia znakomity sanskrytolog śp. Andrzej Rawita-Gawroński, syn znanego pisarza Franciszka, wnuk Zygm. Miłkowskiego (Jeża). Był profesorem języków indoeuropejskich na uniwersytecie lwowskim, członkiem Akademji Um. W świecie naukowym w kraju i zagranicą miał opinję znakomitości. Czytelnicy „Myśli Narodowej“ mieli sposobność poznać jego głęboką myśl filozoficzną z drukowanej niedawno w naszem piśmie rozprawy (1926, II, 186). Chorował na płuca oddawna. Zmarł w młodym wieku, osiągnąwszy najwyższy szczebel wiedzy naukowej i osobistego rozwoju. Wielki żal!

W WARSZAWIE zmarł śp. Tomasz Ruśkiewicz, przyjaciel i kolega szkolny Stefana Żeromskiego, miłośnik historji, zbieracz pamiętników, z zawodu elektrotechnik. Wydał niedawno materjały do dziejów „Tajnego Związku Młodzieży polskiej, 1887 — 1893“. Przechodzi do historji jako wzór cnoty obywatelskiej, pracy i serca.

NOWE KSIĄŻKI

Roman Rybarski. Naród, jednostka i klasa. Warszawa 1927. Gebethner i Wolff. Str. 276.

Mussolini. Mowy. Wybrał, przełożył i przedmową poprzedził Wład. Jabłonowski. Warszawa 1927. Nakładem „Myśli Narodowej". Str. 71. Cena zł. 2.50.

Emil Zegadłowicz. Dom jałowcowy (Poezje). Warszawa 1927. Nakładem księg. F. Hoesicka. Str. 341.

Adolf Nowaczyński. System doktora Caro. Utopja humorystyczna. Warszawa 1927. Tamże.

J. K. Iłłakowicz. Płaczący ptak (Poezje). Tamże.

Al. Alfred Konar. W pogoni za szczęściem (Powieść). Tamże.

Jerzy Brann. Hotel na plaży (Powieść). Tamże.

Zygmunt Kisielewski. Błąd (Powieść). Tamże.

Montesquieu. O duchu praw. Przełożył Tad. Żeleński (Boy). Przejrzał i wstępem opatrzył prof. W. Makowski Warszawa 1927. Tamże. Str. 463.

John Galsworthy. Patrycjusz (Powieść). Bibl. angiel. t. V. Warszawa 1927. Dom Książki Pol.

Selma Lagerlöf. Królowa Kungachelli (Powieść). Przeł. A. Wolska. Bibl. dzieł wyb.

Ruch Literacki. Warszawa, grudzień, Nr 10.

Kwartalnik Instytutu nauk. do badań emigracji i kolonizacji, Nr 1, (grudzień 1926), Warszawa.

W Bibljotece Beletrystycznej. Tow. Wydawn. w Warszawie (J. Mortkowicza) wyszły powieści: Ewy Szerburg Dokąd? — Zofji R. Nałkowskiej, Lodowe pola. — Tadeusza Nalepińskiego, Kazia. — Janusza Korczaka, Dziecko salonu. — (Prenumerata kwart. za 6 tomów zł. 10).

Kazimierz Wierzyński. Laur Olimpijski (Poezje) Warszawa 1927. Mortkowicz.

M. Romeyko mjr. Koleje a wojna lotniczo-gazowa. Poznań, 1926. Str. 32.

Przyjaciel. Dr. Stanisław Krasowski. Głośny lekarz a cichy działacz. W 10-tą rocznicę śmierci. Poznań 1926. Str. 63.

Czesław Ogonow-Ganowicz. Wedy. Poznań 1925. Św. Wojciech. Str. 83.

Tenże. Odwieczna walka. Poznań. 1923. Str. 16.

Stefan Żeromski. O Adamie Żeromskim. Warsz. 1926. J. Mortkowicz.

Kazimiera Alberti. Bunt lawin. (Poezje). Warsz. 1927. F. Hoesick.

Juljusz St. Harbut. Noc Listopadowa w świetle i cieniach procesu przed Najw. Sądem Kryminalnym. Jeden z największych procesów politycznych w dziejach narodów. Z fot., ilustr. i planem. Warsz. 1926. Skład główny w Książnicy-Atlas. Str. 526.

Edward Chwalewik. Losy zbiorów polskich w rosyjskiej Bibljotece Publicznej w Leningradzie. Warsz. — Kraków 1926. Wyd. J. Mortkowicza. Str. 43.

Stan. Szpotański. Bez słońca. T. I i II. Warsz. 1926. Biblj. dzieł wybor.

Wład. Tatarkiewicz. Aleksander Orłowski. Z 32 reprod. Monogr. art. Tom VI. Tamże.

Miecz. Treter. Konrad Krzyżanowski. Z 32 reprod. Mon. art. T. VII. Tamże.

Wacław Husarski. Karykatura w Polsce. Z 32 repr. Mon. art., t. VIII. Tamże.

Miecz. Sterling. Jan Stanisławski. Z 32 repr. Mon. art., t. IX. Tamże.

Wład. Tatarkiewicz. Michał Płońsk. Z 32 repr. Mon. art., t. X. Tamże.

Marceli Handelsman. Francja—Polska 1795—1845. Studjum nad dziejami myśli politycznej. Rozwój narodowości nowocz. T. II. Warsz. (1927). Tamże.

Stefan Żeromski. Puszcza jodłowa. Z drzeworytami Wł. Skoczylasa. Warsz. 1926. J. Mortkowicz. Wyd. zbytk., w 4-ce dużej.

Michał Siedlecki. Opowieści malajskie. Warsz. 1927. J. Mortkowicz. Str. 159.

Zofja Żurakowska. Pożegnanie domu. Powieść dla młodzieży. 1927. J. Mortkowicz.

Janusz Korczak. Feralny tydzień. Opowiadania. (Dobre książki dla młodzieży). 1927. Tamże.

Zofja Żurakowska. Trzy srebrne ptaki. Tamże.

Marja Dąbrowska. Marcin Kozera. Opowiadania. Tamże.

Miecz. Ziemnowicz. Problemy wychowania współczesnego. Warsz. 1927. J. Mortkowicz. Str. 294.

Hanna Motkowiczówna. Dzień Jędrusia. Warsz. 1927. Tamże.

H. Mortkowiczówna. Jarzębiny. (Poezje). Tamże.

Malarstwo polskie. Józef Pankiewicz. Słowo wstępne W. Husarskiego. Warsz. 1927. J. Mortkowicz. (5 repr. kolorowych).

NA MARGINESIE

Organ przewrotu majowego, dziennik „Głos Prawdy", rozpisuje wielki konkurs (nagrody: 750 złotych!) na temat: „Jaki ustrój państwowy odpowiadałby najbardziej umysłowości i charakterowi nowoczesnego obywatela Rzeczypospolitej"? Jak czytamy w objaśnieniu, uczestnicy konkursu mają przedewszystkiem zanalizować „obecny ustrój, jego niedomagania i możliwości naprawy", następnie zaś wystąpić z projektem „jaka ma być forma państwowości naszej, by treść życia 30 miljonów obywateli pomieścić się w niej mogła swobodnie".

Okazuje się, że na wszystko jest czas właściwy. Na początku był krwawy przewrót, objęcie władzy, teraz z kolei twórcy przewrotu ogłaszają konkurs na pytanie: jak Polskę zreformować? Co za świetny pomysł! Jeśli tylko konkurs się uda, będą mieli program, własny program, nikt nie będzie już złośliwie urągać, że nie wiedzą, czego chcą ani ku czemu dążą. I to wszystko „za jedne siedemset pięćdziesiąt złotych"!

*

Tygodnik „Świat" (nr. 2) zamieszcza feljetonowo potraktowany opis ostatniego przewrotu na Litwie. Warto przytoczyć kilka końcowych zdań tego opisu, omawiających „Doniosłe skutki przewrotu". „Przystąpiono przedewszystkiem—pisze „Świat"— do zmian personalnych. Nowy minister spraw wewnętrznych, pułk. Mustejkis, który poprzednio był komisarzem rządu w Kłajpedzie, najenergiczniej wziął się do dzieła. Usunięto naczelników powiatów w Szawlach, w Telszach, Rosieniach i Rakiszkach. Tylko w Marjampolu nie odważono się ruszyć, gdyż garnizon tamtejszy nie był pewny. Równie doniosłe reformy nastąpiły w skarbie... Najgruntowniejsze przemiany zaszły jednak w wojsku. Szef sztabu, płk. Szkirpa został aresztowany na szosie marjampolskiej na 7 klm. od Kowna. Zrazu postanowiono wytoczyć mu proces o opór zamachowcom i podżeganie do buntu przeciwko nim. Następnie jednak zdecydowano poddać go oględzinom lekarskim i uznać za niepoczytalnego... Rząd zapowiedział ogłoszenie nowych przepisów prasowych, gdyż obecne pochodzą z czasów rosyjskich i niedostatecznie zabezpieczają ład i porządek w republice litewskiej"...

Zabawny kraj, ta Litwa!

*

„Wiadomości Literackie" (nr. 2 z 9 stycznia b. r.) dużo miejsca poświęcają echom jakiegoś zajścia w teatrze żargonowym na Oboźnej. Już to, przyznać trzeba szczerze, redakcja wie doskonale, jakie sprawy interesują i podniecają umysły czytelników „Wiadomości"!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani J. Niew. w Grodnie. Uwagi Pani o śpiewanych przez nas hymnach narodowych są słuszne, ale nadesłane teksty nowych hymnów nie zalecają się ani treścią, ani formą. Zresztą trzeba rzecz traktować łącznie z muzyką, o której Pani nie wspomina.

Panu W. B. w Poznaniu. Nadesłane próbki poetyckie nie mają wartości literackiej. Pisze Pan, że już zbliża się 20 rok życia, a Pan jeszcze nic nie drukował. Czyż koniecznie trzeba drukować? W tym wieku nikt nie ma prawa drukować. Niech Pan spokojnie oddaje się pracy normalnej, a jeśli jest talent, to się odnajdzie, gdy będzie Pan miał coś do powiedzenia.

Panu J. T. w G. Wezwanie bardzo szlachetne i poprawnie napisane, ale niech je Pan skieruje do pisma popularnego.



TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM